

**Dziś w numerze: J. KOPROWSKI Od wieku XVII do współczesności • Ludzie XXV-lecia
Władysław Rymkiewicz • B. MADEJ Opowieść o dyrektorze z ogłoszenia •
WŁ. ORŁOWSKI Czy „Jowialski” jest sztuką żywą? • Psie lata • Zawsząd o wszystkim**

odgłosy



46 (626)
16. XI. 1969 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



Fot. A. Różycki

JANUSZ ROSZKO

Oko w oko z drewnianą głową

Prowadzi mnie przez imponujące sale Muzeum Archeologicznego w Poznaniu, przez renesansowe schody i korytarze niedawno odremontowanego z ruiny Pałacu Górków. Z gablot patrzę na mnie dziwaczne twarze ukształtowane przez artystów kultury pomorskiej na urnach z ementarzysk. Mają 2 tysiące lat, to patrzę na mnie dwa millenia. Magister Naumowiczówna, która zajmuje się wczesnym średniowieczem prowadzi mnie przez amfilady, naciska guziczki: zapalają się nagle ekrany z napisami, planikami, wreszcie pojawiają się zdjęcia z Afryki — aby lepiej zrozumieć życie naszych przaszczurów sprzed 2, czy 2 i pół tysiąca lat sięgnięto do analogii z życia współczesnych ludów o kulturze prymitywnej. Ekspozycja może zaimponować swoim rozmachem i przystępnością, nie tracąc nic z wysokiego poziomu.

W jednej z sal czuję na sobie czyjś wzrok. Stają się niespokojny, pani magister zaczyna się niecierpliwie, bowiem wydaje się jej że nie słucham, co ona mówi. I wreszcie następuje moment, w którym odkrywam przyczynę: oto patrzy na mnie drewniana głowa zza szyby posępnym wzrokiem a dostojnym, przeszywającym na wskroś. Jakby w jej oczach było coś gniewnego, ale... przecież ta drewniana głowa nie ma oczu! Ma jakby gniewem ściągnięte szparki. „Głowa z Jankowa, a właściwie jej kopia, wykonana na podstawie zdjęć. Oryginał został zniszczony przez Niemców w okresie okupacji” — mówi pani magister i wszystko staje się znowu spójne: obiekt, moje zainteresowanie i tekst uprzejmy, a uczonnej przewodniczki.

Potem jeszcze wróciłem tu i stałem chwilę — oko w oko z głową — jakby w tym milczeniu pomiędzy mną a gniewnym, brodatym starcem wyrzezanym w drewnie dębowym zachodziło jakieś porozumienie. „Dobrze — pomyślałem sobie — pojedzie! Postanowiłem pojechać do Jan kowa koło Inowrocławia, tam, gdzie znaleziona została w końcu XIX wieku ta ośmielająca, posągowa twarz.

Dalszy ciąg na str. 3

JÓZEF ŚMIALOWSKI

Ludzka przyjaźń

LÓDŹ — LATA 1893—1896 *). W pamięci łodzian żywe jeszcze były wydarzenia „buntu łódzkiego”. Utrwalali tę pamięć ci działacze i członkowie kółek socjalistycznych, którym udało się uniknąć aresztowań, i którzy z jednej strony rozwijali jako odwet akcje terrorystyczne, a z drugiej strony podejmowali próby organizowania nowej partii. Policja coraz wpadała na ślad któregoś z tych kół i dokonywała aresztowań.

W tym klimacie Ludwik Krasucki, jeden z bliskich towarzyszy Juliana Marchlewskiego, wspólnie z Karolem Troczewskim i Feliksem Siemiątkowskim zorganizowali łódzką organizację Socjaldemokracji Królestwa Polskiego. Trzon organizacji stanowili dawni członkowie Związku Robotników Polskich. II Proletariatu i tak zwanej „starej” PPS. Jednym z nich był interesujący nas specjalnie Jan Promiński.

Urodził się 7 września 1859 r. we wsi Alberty w powiecie brzezińskim. Na wielkiej fali migracji chłopów do miast w latach osiemdziesiątych przybył do Łodzi wraz ze swym bratem Andrzejem. Tu zdobył zawód kapelusznika. Dość szybko, bo już w końcu lat osiemdziesiątych obaj bracia trafili do kółek socjalistycznych. Prawdopodobnie byli członkami ZRP. Liczne aresztowania omijały Jana Promińskiego. Ominęło go także aresztowanie w okresie nasilonych represji po „buncie łódzkim”. Kiedy na gruzach poprzednich organizacji robotniczych Ludwik Krasucki zaczął tworzyć łódzką organizację SDKP Jan Promiński znalazł się wśród pierwszych jej członków i aktywistów. Mieszkanie Promińskiego stało się jednym z głównych punktów zbornych członków organizacji. Odbywały się tam zebrania partyjne, szkoleniowe i narady aktywu. Niejednokrot-

nie przechowywano tam i nielegalną literaturę.

Policja jeszcze w 1893 r. wpadła na trop łódzkiej SDKP i w okresie listopad — grudzień aresztowała szereg jej przywódców, a wśród nich i Krasuckiego. Promiński i tym razem uniknął aresztowania.

Latem 1894 r. Promiński na jednym z zebrani zostaje wybrany organizatorem kółka SDKP. Jak stwierdza akt oskarżenia Promiński był całym sercem oddany partii. Organizował kółka robotnicze, kolportował ulotki i literaturę rewolucyjną, zbierał składki partyjne i brał czynny udział w różnych zebraniach i naradach. Tą ożywioną działalnością zwrócił na siebie uwagę policji. Aresztowano go 9 października 1894 r. w czasie szeroko zakrojonej akcji policji, mającej na celu likwidację SDKP. Wśród wielu innych zarzutów w akcie oskarżenia znalazł się i ten, że będąc członkiem SDKP „rozbudzał i kształtował wśród robotników niezadowolenie i nienawiść do fabrykantów i majstrów, a także do władz państwowych i cara, którzy jakoby pomagali uciskać robotników”. Prawie dwa lata toczyło się śledztwo. 29 listopada 1896 r. Promiński otrzymał wyrok skazujący na zsyłkę do wsi Szuszeńskie leżące we Wschodniej Syberii nad Jenisiejem na okres do 23 listopada

1899 r. Wyjeżdżał Promiński z Łodzi wraz z liczną rodziną, nie przypuszczając nawet że już nigdy do niej nie wróci.

PETERSBURG — LATA 1894—1897. Wśród rewolucyjnych kółek Petersburga aktywnie działał młody, bo zaledwie 23 lata liczący człowiek, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Włodzimierz Iljicz Ullanow. W pracy pomagała mu gorliwiej niż inni młoda nauczycielka Nadieżda Konstantynowna Krupska. Efektem tej działalności było połączenie pojedynczych działających, luźnych kółek marksistowskich w jedną organizację Związek Walki o Wyzwolenie Klasy Robotniczej. Policja petersburska dowiedziała się i troiła, by wysłedzić i ująć niebezpiecznego rewolucjonistę. Aresztowano Lenina 9 grudnia 1895 r. 12 sierpnia 1896 r. aresztowano N. K. Krupską. Lenina zwolniono z więzienia 26 lutego 1897 r. skazując go na trzyletnie zesłanie do wsi Szuszeńskie we Wschodniej Syberii. Blisko rok później podobny wyrok otrzymała Krupska, której jako miejsce osiedlenia wskazano gubernię ufańską. Na jej prośbę zamieniono jednak miejsce zesłania na Szuszeńskie, gdzie przebywał już Lenin.

Dalszy ciąg na str. 4



Prezydent Nixon raz jeszcze zlekceważył domaganie się opinii publicznej własnego kraju i całego świata rychłego zakończenia wojny wietnamskiej. W transmitowanym przez rozgłośnie radiowe i telewizyjne, a skierowanym do narodu amerykańskiego przemówieniu, powtórzył tezę swej polityki. A więc, nie całkowite wycofanie się USA z Wietnamu i przerwanie działań, lecz „wietnamizacja wojny”. W miarę — powiedział prezydent — jak umacniać się będą wojska południowego Wietnamu, będziemy wycofywać nasze oddziały. Tempo tego wycofywania uzależnia on od trzech czynników: postępu w rokowaniach paryskich, stopnia aktywności wojsk wyzwoleńczych i realizacji programu szkolenia reżimowych wojsk sągońskich. Z dwóch możliwości, jakie miał Nixon: niezwłocznego wycofania wojsk z Wietnamu, co w prostej drodze prowadziło do pokoju lub kontynuowania wojny, nawet jeśli by miała ona przyjąć „bardziej wietnamski charakter, wybrał tę drugą. Z wszystkimi jej międzynarodowymi i wewnętrznymi następstwami. Dlaczego?

Z komentarzy prasy amerykańskiej można wyluskać następujące powody:

PO PIERWSZE — kółka wojskowe dostarczyły administracji waszyngtońskiej serię raportów, które — z pewnością z myślą o powstrzymaniu prezydenta od pokojowych kroków — zarysowały optymistycznie sytuację militarną i polityczną w Wietnamie południowym;

PO DRUGIE: Nixon wciąż wierzy, że „milcząca większość Amerykanów” popiera tylko takie działania, które służą „dźwierzaniu wysoko amerykańskiej flagi”;

PO TRZECIE: do wyborów prezydenckich jest jeszcze tak daleko, że można ryzykować.

Jeśli takie właśnie były przesłanki decyzji Nixona o kontynuowaniu wojny — to trzeba powiedzieć: patrzy on krótkowzrocznie i niebezpiecznie igra z opinią publiczną, której pogląd na wojnę wietnamską uświadomił się w omawianym na tym miejscu „dniu moratorium” i zapowiedzi powtórzenia masowego protestu w najbliższym czasie. Ogół Amerykanów bowiem, a nie, jak nazwał organizatorów owego dnia wiceprezydent Agnew, „polityczni eunuchowie” i „intelektualni snobi”, domagają się szybkiego wycofania USA z nie rokującej żadnych nadziei wojny wietnamskiej. Amerykanie pisał „New York Times”, komentując wystąpienie prezydenta, oczekują nie oferowanego przez Nixona „planu wietnamizacji wojny, ale planu wietnamizacji pokoju”.

Nixon nie poszedł jednak tą drogą, sprawiając radość tylko reżimowi sągońskiemu. Van Thieu nazwał przemówienie prezydenta „jednym z najdonioślejszych i najważniejszych przemówień, wygłoszonych przez któregośkolwiek z prezydentów USA”. Oświadczył on także, że „prezydent Nixon i ja jesteśmy całkowicie zgodni co do tej polityki”, bowiem „narod wietnamski nie pragnie niczego innego niż tylko stopniowego przejęcia odpowiedzialności za zachowanie swej wolności przy skutecznej pomocy ze strony krajów sojuszników”. Już sam fakt, że Van Thieu tak wychwalał przemówienie Nixona wystawia mu najlepszą cenzurkę...

W Wietnamie nie należy więc oczekiwać niczego nowego, a w drugim zapalnym punkcie — na Bliskim Wschodzie?

Ostatnio w siedzibie ONZ rozeszły się pogłoski, jakoby ZSRR i USA zbliżyły się w toku rozmów konsultacyjnych do uzgodnienia stanowisk. Rezultatem ma być plan zakończenia kryzysu bliskowschodniego, obejmujący: deklarację Izraela o programie wycofywania wojsk z terytoriów arabskich, pokojowe porozumienie między stronami w konflikcie, potwierdzenie przez kraje arabskie istnienia państwa Izrael i czasowe obsadzenie linii demarkacyjnej pomiędzy Izraelem a krajami arabskimi przez międzynarodowe oddziały pod flagą ONZ. Taki projekt ma być podobno przedłożony konferencji ambasadorów czterech mocarstw w Nowym Jorku.

Przypomnijmy czytelnikom, że wiosną br. w siedzibie ONZ rozpoczęły się konsultacje ambasadorów ZSRR, USA, W. Brytanii i Francji i że równoległe w Moskwie i Waszyngtonie toczyły się rozmowy amerykańsko-radzieckie. W odróżnieniu od pierwszych, które po pewnym czasie zostały zawieszono, konsultacje amerykańsko-radzieckie trwały bez przerwy. Ich wynikiem ma być właśnie omówiony powyżej projekt.

Według źródeł zachodnich — wielkie mocarstwa sondowały w ostatnim okresie opinię Kairu i Tel Awiwu na temat możliwości zaakceptowania takiego planu.

Przeprowadzone niedawno wybory do izraelskiego parlamentu (Knessetu), w których partia Goldy Meir utraciła bezwzględną większość, z pewnością nie zlagodzą polityki nowego rządu. Przywódcą drugiej co do wielkości partii — Gahal jest bowiem Begin, opowiadający się za jeszcze bardziej twardą polityką izraelską, łącznie z całkowitą aneksją wszystkich zagarniętych ziem arabskich.

Czy więc Izrael nadal będzie trwał przy ryzykownej i niebezpiecznej dla niego blokadzie pokojowych rozstrzygnięć?

W. SLAWSKI

Zewsząd o wszystkim

RYNEK SEKSU

„L'EXPRESS” — PARYŻ

Są tu tłumy, ludzie siedemdziesięcioletni, młode małżeństwa z dziećmi, kobiety w ciąży, urlopowani wojskowi, turyści z Monachium i południowokoreańscy dzień nikażce, dostojne starsze damy i długowłosie młodzieńcy — najbardziej rożgadani. Wszyscy cierpliwie i grzecznie stoją w kolejce, która przesuwają się z wolna od stoiska do stoiska. Długi sznur ludzi, ciągnący się kilkaset metrów. To robi wrażenie. A nie jest to ani salon z nowoczesnym sprzętem gospodarstwa domowego, ani wystawa płócien Picasso.

Jesteśmy w Kopenhadze. Przybyło tutaj około miliona ludzi, żeby uczestniczyć w otwarciu pierwszych w świecie targów pornografii oraz przekonać się, że jest ona produktem równie łatwym do dostępnym, jak najnowszy model lodówki.

— „Pornografia? Owszem, to jest zabawne, ale ja wolę piłkę nożną” — powiedział mi pewien młody kierowca taksówki. Niemniej i on znalazł się na krytym stadionie K. B. Halen, gdzie 54 firmy eksponują swoje „wyroby”. Dla Duńczyków seks w obrazkach i w dźwiękach jest już sprawą zamkniętą, od czasu, gdy dwa miesiące temu zniesiono cenę zure filmów.

Pod dźwięki „We shall overcome” — hymnu zrównania praw obywatelskich w Stanach Zjednoczonych i „Je t'aime non plus” — hymnu zrównania praw małżeńskich Serge Gainsbourga i Jane Birkin, w ciągu sześciu dni pokazano najszerszą panoramę tysięcy i jednej jej pozycji i sposobów, niezbędnych w ultranowoczesnej technologii miłosnej: książki i prospekty, zdjęcia i płyty, przeróżne instrumenty i aparaty do masażu, filmy. Słowem hold, ekлекtyczny i małostkowy, dla najstarszego zajęcia na ziemi.

Dochody duńskiego przemysłu pornograficznego oblicza się na 500 milionów koron; osiemdziesiąt procent tej produkcji idzie na eksport. Najlepsi odbiorcy: Niemiecka Republika Federalna i Stany Zjednoczone.

Anders Dahlerup, dziennikarz z duńskiego radia i sekretarz generalny targów

— które organizowało społeczne towarzystwo Teamwork — wyjaśnia obojętność Duńczyków na to niecodzienne wydarzenie, które tak głośnym echem odbiło się w innych stolicach europejskich:

— „U nas nigdy nie istniał konflikt między seksem a religią. Kościół luterański w Danii potraktował filozoficznie kwestię pornografii dla wszystkich. Dwieście sklepów z pornografią, tzw. Porno Shop, dziesięć prywatnych klubów, w których ogląda się przedstawienia pornograficzne, dokonały restrykcyj. Od momentu, gdy w dawnictwa pornograficzne załazy rynek, ich cena gwałtownie spadła. To samo spotka filmy, które coraz częściej wchodzi na ekrany duńskich kin. Jasne, iż nasycając rynek, firmy, produkujące pornografię we wszelkich odmianach, same kopią sobie grób. Na szczęście dla nich istnieją jeszcze cudzoziemcy”...

Istotnie, ośmiomilimetrowy film pornograficzny, sprzedawany w Kopenhadze za 40 koron, kosztuje dziesięć razy drożej w Zachodnich Niemczech. Sprzedaż i kupno, dokonywane w warunkach nielegalności podsycają zainteresowanie.

Jeśli w królestwie duńskim jest coś niezdrowego, zgniętego, to nie widzę tego na twarzach osób zwiedzających targi. Fizjonomie rozbawione, wybuchy szczerego śmiechu na widok szczerze głośnie śmiałych sekwencji filmu, wesoly poszum, witalny podczas słodkiej tety i tety. Pornografia etykietowana, katalogowana, wyjęta z pudełka, aseptyczna i umieszczona w witrynie, ekscytuje mnie więcej tak, jak przyjazd Cyrku Pindera. Wielka lekcja Kopenhagi uczy, iż totalna rewolucja seksualna może się dokonać, nie stając się Koniem Trojańskim przewrotu w dziedzinie obyczajów.

W dniu otwarcia targów manifestowało pięćdziesięciu członków ruchu młodzieży katolików, niosąc plakaty z napisem: „Modlimy się za was”. Ich modły będą wysłuchane: wspomniany już dziennikarz, Anders Dahlerup, przygotowuje na Boże Narodzenie targi rodzinne...

Wyniki badań z lotu na Księżyc

„NEW YORK TIMES” — NOWY JORK

Uczni podali już do wiadomości wyniki wstępnych analiz gruntu księżycowego, dostarczonego przez załogę statku kosmicznego „Apollo-11”. Skład chemiczny badanych próbek skalnych jest odmienny od składu wszystkich występujących skał na Ziemi. Wykrycie w próbkach zdumiewająco dużych ilości tak rzadkich pierwiastków chemicznych jak: chrom, tytan, itr i cyrkon, a także owa „odmienność” struktury chemicznej pozwoliła uczynom podważyć

jedną z trzech zasadniczych teorii pochodzenia Księżyca. W dalszym ciągu nie wyklucza się możliwości, iż Księżyc został „pochwycony” przez Ziemię już jako ukształtowany obiekt w jego obecnej formie, ani też tego, że Księżyc i Ziemia powstały jednocześnie, jako podwójna planeta z jednego obłoku gazowego. Ale, jak podają uczeni, wyraźne różnice w składzie chemicznym Księżyca i Ziemi wykluczają trzecią hipotezę, wedle której Księżyc oderwał się

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

- ◆ O Ingardenie, snach i cybernetyce — notatki z dziennika WANDY KARCEWSKIEJ
- ◆ Polskie Dni w Salzburgu — relacja FERDINANDA NEUREITERA
- ◆ W drodze po belferskie ostrogi — wspomnienia MIECZYŚLAWA WOŹNIAKOWSKIEGO
- ◆ Czy skarpetka może być dziełem sztuki — zastanawia się KAROL BADZIAK

o r a z

recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Łodzianie w karykaturze



URSZULA MODRZYŃSKA
Aktorka teatralna i filmowa

rys. Ibis-Gratkowski

od Ziemi we wczesnym stadium jej rozwoju, wskutek przyprawowego działania Słońca.

Interesującym zjawiskiem, które zaprzęta obecnie umysł badaczy, jest brak wody na Księżycu oraz brak jakiegokolwiek oznak życia.

Nie wykryto w próbkach księżycowych śladów cennych metali, więc złota, srebra i platyny. Stwierdzono natomiast, iż występuje tam stosunkowo mało pierwiastków o niskich temperaturach topności, takich jak: ołów, bizmut, sód i potas.

W pierwszym oficjalnym komunikacie, ogłoszonym po powrocie na Ziemię statku kosmicznego „Apollo-11” uczeni, badający próbki różnych gatunków skał i gleb zebranych w rejonie Morza Spokoju, potwierdzili przypuszczenia, iż niektóre z nich liczą 3 i pół milarda lat. Gdy kosmonauci znajdą się kiedyś na skalnych płaskowzgórzach księżycowych, być może, znajdą tam odłamki skał, starsze od tych, które zalegają w dolinach. Ich wiek określa się przypuszczalnie na 4 i pół milarda lat. Tyle mniej więcej lat liczą sobie Ziemia, Księżyc i cały system słoneczny. Najstarsze spośród skał występujących na Ziemi, które oparły się niszczeniu działaniu wiatrów i wody, mają 3 i pół milarda lat.

Sumując dotychczasowe wyniki badań próbek skał księżycowych, profesor geologii uniwersytetu kolumbijskiego dr Paul Gast sformułował następujące wnioski:

— Wiele odłamków jest pochodzenia wulkanicznego, więc znajdowały się kiedyś w stanie płynnym, albo w wyniku wybuchów wulkanicznych, albo pod wpływem energii cieplnej, powstałej w momencie upadku meteorów na powierzchnię Księżyca.

— W ukształtowaniu oblicza Srebrnego Globu ogromną rolę odegrały spadające meteory oraz inne ciała, będące odpryskami wybuchów wulkanicznych. Wszystkie odłamki skał dostarczone przez załogę „Apollo-11” mają na powierzchni zagłębienia, jakby zalane

roztopionym szkłem; wynik „bombardowań” drobnych cząstek ciał stałych.

— Stwierdzono, iż większość badanych odłamków ulegała pewnym ruchom, jak gdyby co pewien czas była „podrzucana” lub obracała się w jakiś sposób. Świadczą o tym nierówności na całej ich powierzchni.

— Większość odłamków uległa procesowi erozji: ma zaokrąglony kształt i jest dość miękka. Może to też być konsekwencją promieniowania słonecznego lub wyniku uderzeń mikro-meteoroidów.

— W odłamkach skał nie wykryto żadnych związków organicznych, które by wskazywały, iż na Księżycu odbywają się jakieś procesy życiowe.

Dr Gast oraz inni uczeni dysponują na razie wynikami wstępnych analiz i nie formułują jeszcze wniosków, które by mogły mieć zasadnicze znaczenie w sporze naukowym: czy Księżyc jest martwym, „zastygłym” ciałem, czy też „żywym”, w którego wnętrzu zachodzą procesy wulkaniczne.

Uczni wykazują daleko idącą ostrożność w formułowaniu sądów o chemicznej strukturze Księżyca. Jak oświadczył dr Robin Brett, specjalista-geolog z centrum lotów kosmicznych, badane odłamki krystalicznych księżycowych skał wulkanicznych zawierają do 12 proc. tlenku tytanu (na Ziemi zawartość tytanu w niektórych skałach wulkanicznych nie przekracza 4,5 proc.). W próbkach skał księżycowych stwierdzono dziesięć razy więcej chromu, niż spotyka się go zazwyczaj na Ziemi.

Tytan i chrom, podobnie jak itr i cyrkon topią się w bardzo wysokich temperaturach. Jedynie w pewnych mieszaninach udaje się obniżyć temperatury ich topności. W związku z tym uczeni konkludują m. in.: „...albo skład chemiczny odwodnionych odłamków skalnych Księżyca znacznie się różni od składu powłoki Ziemi, albo mechanizm powstawania skał księżycowych różni się od analogicznych procesów na Ziemi”.

Oko w oko z drewnianą głową

Dalszy ciąg ze str. 1

Przyjechałem do Jankowa w okrutnie dżdżysty dzień i chłodny. Magister Wojciech Smigielski, kierownik pracującej tu ekipy archeologów stał okutany w przeróżne folie nylonowe na brzegu wyspy i czekał na łódź. Cóż to deszcze — tutaj za parę lat będzie dopiero wody, a wody. Wysepka zniknie pod zalewem, bowiem przedsiębiorstwo, zajmujące się budową kaskady dolnej Wisły, tutaj właśnie ma zamiar pobudować jakowyś zbiornik wyrównawczy. No i przed potopem gwałtowne badania się teraz czyni, powołano specjalną pracownię archeologiczną przy PKZ, aliści nowa placówka, natrafiwszy na duży obiekt kultury łużyckiej na wyspie w Jankowie — od razu zakontraktowała do badań IHKM. Deszczyk płynię małą strużką z okularów magistra Smigielskiego, kiedy wreszcie gramoli się z łodzi na brzeg w jankowskim parku. Tutaj bowiem ulokowała się ekspedycja, w gustownych baraczkach, których im inni zazdroszczą, powiadając: oni dostali duże pieniądze. Istotnie, na przebadanie terenów przyszłego zalewu jest coś półtora miliona złotych przez 2—3 lata.

Patrzyłem z przerażeniem na taki obrazek: dołem płynię łódź z kierownikiem ekspedycji, górą szybują wagoniki kolejki linowej z surowcem dla zakładów sodowych. W wykopie kultura łużycka, (2 i pół tysiąca lat na nas patrzy!), a tutaj się chwają: mamy najdłuższą kolejkę linową w Polsce, 26 kilometrów! I pałac szpetny okrutnie pośrodku parku, neogotyckie proporcje zepsute przez liczne nadbudówki. Opuszczony od Boga, władz, ale nie od ludzi, bowiem 18 rodzin tam mieszka. Jest piękna wieża widokowa, z której można rozglądać się po okolicy i popatrzeć na wyspę, na której koncentruje się uwaga wszystkich. Nawet starego ogrodnika; ten wspominając niemieckiego właściciela pałacu, który ciągle dobudowywał jakieś skrzydło lub skrzydełko, marząc o posiadaniu 100 pokoi — wypytuje teraz: skarby odkopujecie? Nie pamiętam, jak się nazywał ten Szwab, znieprawiony i przepędzony, który w czasie okupacji nazwę Jankowa przemienił na Adolfinenhof, ale ożeniony był z polską arystokratką Zamojską, czy Potocką. Duże pieniądze nader często zabijają uczucie patriotyzmu i to nie tylko w kobietach...

Na tymże folwarku dziedzie kazali panu rządcy, nazwiskiem Pahlke, uporządkować teren wyspy, wchodzącej w obręb parku dworskiego, aby posadzić na niej drzewa ozdobne. Pahlke zabrał się do pracy z wawo, teren przepokopał, zniwelował i w trakcie owego kopania natrafił na stare skorupy ceramiczne, kawałki drewna, przesiłki. Na samym brzegu odnalazł jakieś tajemnicze pale, oraz rzeźbioną głowę, wcale nie monumentalnych rozmiarów. Mniejsza nawet niż naturalna ludzka. Miała tylko wystrugany kawałek szyi — i otwór, służący do osadzania na słupie. Pan Pahlke, jak przystało na sumiennego oficjalistę prywatnego — sporządził o tym znalezisku raport do władz. Władze jak zwykle takimi sprawami się nie interesują i pan Pahlke pisze do „Historische Gessellschaft für die Provinz Posen”. List nosi datę: 5 kwietnia 1889. Do listu dołączony był szkic przedstawiający wyspę z grodziskiem stożkowym mniej więcej pośrodku. Albo teraz wyspa wygląda trochę inaczej, albo pan Pahlke jako kartograf był znacznie gorzszy, niż jako oficjalista.

Znaleziska z wyspy w Jankowie wraz z listem przechowywane były w tym niemieckim „Gesselschafcie”, konkurencyjnym w stosunku do polskiego „Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk”. Po I wojnie właśnie ono przejęło zbiory niemieckiego towarzystwa, i wraz z nimi głowę drewnianą. Pisał o niej w swoich

książkach profesor Józef Kostrzewski, ale w czasie okupacji musiał uciekać przed gestapowskimi siepaczkami. Głowa z Jankowa, wraz ze zbiorami archeologicznymi dostała się w ręce hitlerowców. Niejaki Kurt Langenheim zabrał się do badania „naukowego” głowy i wymaścił zadzierzasty artykuł o niej pt. „Der Kopf von Adolfinenhof (Jankowo) Kreis Mogilno, eine Wikingsche Holzplastik” — co się tłumaczy, że artykuł traktuje o głowie z Adolfinenhofu, dawniej Jankowo, rzeźbie drewnianej Wikingów! Artykuł ten został opublikowany w numerze pierwszym i na szczęście ostatnim poznańskiego rocznika prehistorycznego w języku niemieckim, wydanego w roku 1944. Tak więc jesteśmy zdaje się na tropie oryginału: niejaki pan Kurt Langenheim, o ile dalej trwał na zapleczu, zamiast nadstawić pierś na Ostfroncie — i przetrwał na zrabowanych polskich zabytkach archeologicznych — o tej głowie coś powinien wiedzieć. A więc, szukajmy pana Langenheima! Może znajdzie się oryginał głowy z Jankowa.

Pozostały bowiem tylko zdjęcia, na szczęście bardzo dokładne — robione na kliszach wielkich jak talerz i oddające znakomicie każdy szczegół. Na ich podstawie można było ją odtworzyć. Głowę odkopano najprawdopodobniej na starym brzegu naprzeciwko wyspy, na głębokości ok. 60 cm. Miejsce znaleziska nie zostało przez pana Pahlke na planiku oznaczone. W 1953 roku, profesor Hensel chciał rozpocząć badania na wyspie, ale wtedy skoncentrowano się na badaniach początków państwa polskiego i nieznaną wyspę „wyleciała” z planu. Aż dopiero projektowany zalew zmusił archeologów do badań.

I oto odwinęty już z poliwinylowych pokrowców magister Smigielski opowiada mi w baraczkach o wynikach badań: na wyspie jest grodzisko łużyckie! Na wierzchu była niska warstwa wczesnośredniowieczna, mocno przez pana Pahlke zdaje się, zrywana. Ale epoka kultury łużyckiej jest klarowna i nienaruszona. Natrafiono na wal łużycki, skrzyniowy i właściwie to wszystko. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że grodzisko w Jankowie w ogóle nie było znane w dotychczasowej literaturze — to przybywa nam nowa pozycja do atlasu grodzisk, który znalazł dotychczas grodziska w Jankowie Dolnym koło Gniezna i Janikowie, w bliskim co prawda sąsiedztwie, ale na przeciwnym brzegu jeziora. Tego samego jeziora Pakoskiego, przy którego brzegu znajduje się wyspa w parku dworskim Jankowo, (przejsiowo Adolfinenhof).

Aliści gniewny wzrok głowy posagu, który mnie ścigał — nie był wynikiem gniewu na złodziei, którzy koniecznie chcieli jankowską głowę przypisać Wikin gom. Ona była gniewna od dawna, choć dzisiejsze spory mogłyby ją o większy jeszcze gniew przypisać. Odzierają ją krytyczni uczeni z nimbu „głowy bóstwa”. Prof. Józef Kostrzewski w swojej fundamentalnej pracy „Kultura prapolska” pisze: „Z rzeźb o charakterze religijnym pogańskim wymieniamy brodatą głowę posagu bóstwa z Jankowa w pow. mogileńskim (dziś pow. inowrocławski — przyp. mój) wykonaną z dębiny i osadzoną ongi na osobno wykonanym tułowiu lub zwykłym słupie”. I przytaczam jeszcze przypis prof. Kostrzewskiego „Posąg, nazywany od sięgania, oznaczał pierwotnie właśnie „słup drewniany, ubóstwiany trybem słowiańskim” (Bruckner: „Słownik etymologiczny” s. 483). I tak się dotąd w literaturze przyjęło. Ale zaczęto się zastanawiać czy, aby Pahlke nie znalazł jej w ogóle na powierzchni, albo u brzegu, w mule? Może była to zwykła głowa, noszona na pału przez kołodźników? Kwadratowy otwór u spodu szyi jest celem późnym warsztatowo — twierdzi dr Krystyna Józefowiczówna w swoim szkicu o wielkopolskiej sztuce okresu wczesnomańskiego („Dzieje Wielkopolski”). Razi ją również brak stylizacji. „Atrybucji tej rzeźby jako idolu pogańskiego można bez wahania odrzucić, nie da się ona bowiem umiejścić w czasie nawet u schyłku romanizmu; sądzę, że jest znacznie późniejszym produktem rzeźby ludowej, której pewna surowość nas ludzi”. Ba, zapytać jeszcze można, czy w prymitywnej z natury sztuce ludowej za-



Głowa bóstwa z Jankowa

szły duże zmiany w ciągu wieków i czy tak łatwo jest odróżnić np. ludowego Chrystusa Frasobliwego z XI, XVI czy XX wieku? Twórczość ludowa z swojej natury jest twórczością samorodną, bardzo rzadko podlegającą modzie, która obowiązuje w sztuce oficjalnej.

Zastanowiła mnie jedna rzecz: Pahlke dotarł tylko do płytkiej warstwy wczesnośredniowiecznej. Dzięki jego działalności trudno dziś cokolwiek tu odczytać, ale skorupy ceramiki wczesnośredniowiecznej ręcznie lepionej oceniał przy mnie prof. Kazimierz Żurowski na VIII wiek. Profesor należy do Rady Naukowej, która czuwa nad wykopaliskami w rejonie jeziora Pakość i przyjechał właśnie w ten dżdżysty dzień na rekonesans. Nie wiem, czy wcześniej nie kopał na wyspie zasłużony badacz Biskupina, prof. Zdzisław Rajewski, skoro na jednej z sesji archeologicznych w Kielcach, poświęconej wizeronom pogańskim stwierdził, że istniał tu na gruzach łużyckiego grodu mniejszy gródek wczesnośredniowieczny z okresu VIII—IX wieku, czyli co najmniej na sto lat przed Mieszkiem I zakończył on swoją karierę, zapewne pośród walk międzyplemiennych zmierzających do zjednoczenia ziem polskich. „Oczywiście gród koczowniczy chronologicznie z drewnianą głową, która była osadzona na słupie...” — rzekł prof. Rajewski.

Brodaty starzec, patrzący szparkami drewnianych oczu narobił w nauce sporo zamieszania — i jak widać przypisywano go już to Wikin gom, już to XIX-wiecznym kołodźnikom... Przy każdej dyskusji na temat wierzeń pogańskich Słowian głowa z Jankowa wjeżdża na stół, czyniąc potężne zamieszanie w szeregach uczonych — bo co uczony, to inny pogląd. Dyskutowano też o głowie na IX Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich, gdzie mówiono z kolei o romańskich pokrewieństwach jankowskiego bóstwa, przenosząc ją tym samym w czasy chrześcijańskie, ale też przypomniano przed-

wojenny chyba jeszcze sąd prof. Włodzimierza Antoniewicza z Uniwersytetu Warszawskiego, że jest ona rodzimym wytworem pogańskim i stanowiła ozdobę wrót. Jeden z najwybitniejszych współczesnych znawców sztuki romańskiej, prof. Lech Kalinowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego wyraził pogląd następujący:

„...zestawiając głowę z Jankowa z dziełami sztuki chrześcijańskiej kultury rozważam nie tylko jej pogańskie cechy, lecz także możliwość, iż jest ona zabytkiem romańskim, lub zdradzającym wpływ rzeźby romańskiej...” Brzmi to trochę jak komunikat PIHM, który przewiduje dość skomplikowaną pogodę, ale nie posiadająca kontekstu w warstwie kulturowej, czyli wyrzebana na chybił trafił z brzegu jeziora głowa — będzie jeszcze długo przedmiotem sporów.

Przeglądając raport, złożony przed prawie stu laty przez pana Pahlke przypuszczałem, że ten ciekawski amator nie dotarł absolutnie do warstw kultury łużyckiej, a jedynie do warstwy z wczesnego średniowiecza, datowanej na czasy VIII—IX wieku. I wiązanie tego zabytku z tymi czasami wydaje się najbardziej logiczne. Spór o drewnianą głowę w nauce polskiej trwa, mając przy tym tendencje do przyznawania jej wczesnej pogańskiej metryki. Jeżeli przyjmujemy, że gród wczesnośredniowieczny w Jankowie leżał na prastarym bursztynowym szlaku nie można wykluczyć wpływu rzeźby romańskiej na tutejsze posągi kultowe, powstające w dźwigającym się ku okresowi ponadplemiennemu państwie.

Powracam często myślą do tamtej chwili, w Muzeum Archeologicznym w Poznaniu. Niesamowite wrażenie, jakie wywołuje ta drewniana twarz, niezapomniane — utwierdza mnie w przekonaniu, że stałem oko w oko nie z zwykłą drewnianą głową; ukłoniłem się głęboko przed słowiańskim bogiem.

JANUSZ ROSZKO

W odpowiedzi na ankietę

Spółecznicy muszą istnieć

Mieszkam w Longinówce, pracuję w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej w Piotrkowie, mam 29 lat, działam społecznie na terenie wsi Tomowa z ramienia POP przy naszym przedsiębiorstwie. Chciałbym podzielić się garścią swych uwag. Otóż na wieś tę zaczęła jeździć w 1966 roku dla obsługi zebrań i pomocy tamtejszej komórce PZPR. Wieś jest

położona daleko od większych miast, nie ma z nią żadnej regularnej komunikacji, brak światła elektrycznego. Tomowa to wieś wybitnie rolnicza, gospodarstwa matorolne, ziemia piaszczysta — piąta i szósta klasa.

Co dotychczas zrobiliśmy? Mam swój skromny udział w pomocy przy budowie linii telefonicznej oraz przy budowie 3,5-kilometrowego odcinka dro-

gi w czynnie społecznym. Zanim doszło do budowy tej drogi musiałem prawie dwa lata kolo tego chodzić. Trudność polegała na tym, że mieszkańcy Tomowej nie wierzyli w sukces tak poważnego zamierzenia. Sporo gospodarzy uchylało się od tej pracy. Chodziłem od domu do domu i przekonywałem. W końcu udało się do kobiet zrzeczonych w Kole Gospodyń Wiejskich. One pierwsze wyszły do pracy i zawstydziły mężczyzn. Za kobietami poszła młodzież z ZMW, Ochotnicza Straż Pożarna, uczniowie.

Jeśli będę w dalszym ciągu sprawował opiekę nad tą

wsią, to chcę doprowadzić budowę drogi do końca, załatwić problem komunikacji PKS, położyć chodniki przez wieś. Najważniejszym moim celem jest stworzenie w Tomowej silnej, prężnej organizacji PZPR. Wtedy wszelkie zamierzenia w pracy społecznej nie będą stanowiły takich trudności, jak obecnie. Ważną sprawą jest załatwienie i doprowadzenie do wsi energii elektrycznej. Skończą się lampy i świeczki, będą radia i telewizory, a co za tym idzie, szerzy kontakt ze światem, większa mechanizacja, lepsza praca. Moim skrytym marzeniem jest doprowadzić do budowy wo-

wa. Najtrudniej przekonać ludzi o potrzebie tej inwestycji. W najbliższym czasie chcę zmobilizować wieś do pomocy przy budowie Wiejskiego Domu Nauczyciela. Gdyby się to naprawdę udało, mógłbym wówczas z całym spokojem powiedzieć, że moja praca nie poszła na marne. Chciałbym także rozszerzyć i zaktywizować prace kółka rolniczego. W ogóle roboty jest moc.

Praca społeczna jest dla mnie czymś, czego nie da się określić. Pracuję społecznie nie dla chwały i laurów i nigdy nie powiem, że to czas stracony. Uważam, że gdyby tylko 40 proc. ludzi było tej samej

myśli co ja, można by zrobić bardzo wiele dobrego i pożytecznego. Moja choroba nazywa się „zapalenica”. Jestem przekonany, że w pracy społecznej trzeba być upartym do przesady, nie należy się zrażać, trzeba umieć do końca doprowadzić rozpoczęte dzieło. Spółecznicy muszą istnieć. Nie wierzę w kryzys pracy społecznej. Oczywiście, trudno wymagać, żeby wszyscy byli społecznikami. Ale ci co są, muszą być twardzi, muszą inspirować, pociągać za sobą innych. Inaczej nie da rady. W każdej pracy ktoś musi przodować, być pierwszy, dawać przykład.

RYSZARD PODLEWSKI

Reportaż z planu

— Czy pisałeś już protokół przyjęcia?
— Tak.
— A więc zgadzasz się na wszystko?
— ...
— Ja się absolutnie nie zgadzam. Dwoje nowych ludzi, w tym jedna właściwie zupełnie zielona, Juana. Dwóch z twojej starej załogi, no, jakby to powiedzieć... Jeden już właściwie za stary, Gaston. Drugi, Konrad, dopiero co wrócił do siebie po ciężkim zakażeniu. Wyniki jego testów medycznych są tuż przy dolnej granicy. I to tylko wtedy, jeżeli się przymknie jedno oko... Dlaczego nie mówisz, Veiko?

1.

Komendant statku mleczy. Już zdecydował. Statek kosmiczny wystartuje. Wraz z siedmioosobową załogą „Lajka” skieruje się w stronę pasa asteroidów, rozciągającego się w przestrzeni kosmicznej między Marsem a Jowiszem. Celem eskapady jest naprawa i konserwacja sond, krążących po orbitach. Lecz prawdziwa przyczyna wyprawy jest zgoła inna. Veiko po stanie odnalezienia statek kosmiczny, który zaginął przed kilku tygodniami. Dotychczasowe próby odszukania tego statku skończyły się fiaskiem. Zaprzestano poszukiwań, tylko Veiko nie zrezygnował. Jest rok 2040.

— Leucht! Klappe! Fassen 1-0 — „Lajka” wyrusza z pomocą ludziom zaginionym gdzieś w odległych rejonach Układu Słonecznego.

Tak przedstawia się sytuacja wyjściowa popularno-naukowego filmu „Sygnały”, kręconego obecnie w koprodukcji z NRD. Po zdjęciach w Babelsbergu, wschodniemieckiej „fabryce snów” (dokąd to uprzejmy tłumacz rekomendować obiecywał, oczywiście bezinteresownie, co ładniejsze polskie epizodytki), ekipa znalazła się w łódzkiej wytwórni. Realizacja filmu zakończona zostanie również w atelier „Defy”, w lutym przyszłego roku.

— „Sygnały” — mówi reżyser filmu Gottfried Kolditz — to opowieść o ludzkim współdziałaniu, o pokojowej koegzystencji w przestrzeni kosmicznej. Bo tylko ścisłe porozumienie i integracja potencjału umysłowego i materialnego, umożliwiły może efektywną eksplorację Kosmosu.

Międzynarodowa obsada, w skład której wchodzi Polacy — Irena Karel, Piotr Pawłowski, Zbigniew Sawan i Jugosłowianin — Gojki Milec (znany od twórcy roli Winnetou w serialu easter-westernów), Egipcjanka — Sohair Marschedi; Niemiec — Helmut Schreiber, jest personalnym wyrazem tej humanistycznej idei filmu. Moja wizja przyszłej współpracy narodów jest bardzo optymistyczna, jest ona wyznaniem wiary w osiągnięcie międzynarodowego porozumie-

nia w tej dziedzinie oraz w pozytywne rezultaty ludzkiej myśli technicznej”. Śnać optymizm zmęczył nieco twórcę, bo wiem umilkł z nagła, wkrótce jednak ciągnął dalej niezmiernie cenie:

— Będzie to wprawdzie film o wyprawach kosmicznych, lecz protestuję przeciw zakwalifikowaniu go do gatunku Science-Fiction. Gatunek ten jest albo lutowym żywielem w zachodniej „kulturze masowej”. Narracja filmów S-F operuje szeregiem chwytów stale się powtarzających, toteż doskonale znanych widzom. Np. odkrywca

nie pod względem ich zawartości naukowej, intelektualnej i filozoficznej. Zmieniają się proporcje, coraz tu mniej fantastyki, coraz więcej nauki. Gatunek jest rozsadzany od wewnątrz, forma SF przestaje być adekwatna do nowych treści, jakie ma wyrażać.

2.

Ujęcie 130/1. Reżyser przystępuje do dalszej pracy. Czyny to spokojnie i sprawnie. Koncepcję poszczególnych ujęć i scen ma już dokładnie przygotowaną. Nastroj i dynamika scen, konwencja gry aktorskiej, tonacja dialogów, wszystko to jest dokładnie przemyślane. Wąski margines improwizacji. Mniej-

mie z przyszłej epoki ekspansji (elastic), zasiadł Zbyszek Sawan. Sklonił na pierś piękną głowę, koncentruje się. Na przeciwległej kanapie Veiko, Piotr Pawłowski. Reżyser obejrzałszy kilka jego poprzednich filmów, zdecydował natychmiast. „To znakomity aktor — mówi — ponadto ma twarz i sylwetkę człowieka przyszłości. W tej chwili Kolditz z pomocą nieodłącznego tłumacza określa aktorem klimat sceny, sytuację psychiczną, w jakiej znajdują się bohaterowie. — „Atmosfera pełna napięcia, silna opozycja p. Sawana. Atakuje. Pan Pawłowski jest spokojny. Nawet nie kontrargumentuje. Będzie realizował swój plan”.

wyjeżdża do Egiptu, gdzie realizować będzie następny swój film. — „Ist ganz gut”. Lecz nos p. Sawana błyszczy niebezpiecznie. Charakterystyka podbiega skwapliwie, aby poprawić sfatygowany nieco wysoką temperaturą makijaż. Nakłada następną warstwę białdła. Nos... dlonie... Kark. Teraz dobrze. Długa cisza, aktorzy koncentrują się. Próba z reflektorami. Następna próba z reflektorami. I jeszcze jedna. Wreszcie — Światło! Klaps! Ujęcie 131/1 — Rozmowa kosmonautów toczy się dalej. — „Koniec! Jeszcze raz! Proszę aktywniej! Pan Sawana patrzy na mnie, nie nade mną!” Następny dubel ujęcia — nowe uwagi reżysera: — „Więcej dynamizmu! Nie zatrzymujcie się, panowie. Mówicie o sprawach znanych, nie akcentujcie więc zdań!” Jeszcze jeden dubel. Kreśli się zwykle kilka dubli, z których zwykle dwa najlepsze przeznaczone będą do kopiowania. Tyło jeden z nich, zależnie od ostatecznej koncepcji reżysera montażysta włączy do filmu.

W przerwie między zdjęciami, usadowiłszy się na kosmicznej kanapie, która ludzko przypomina łożo rozpustnego baszy, reżyser nawiązał do zakończonej przed chwilą sceny: „Pierwszy raz pracuję z Polakami. Ale jestem bardzo zadowolony z pracy polskich aktorów. Utałentowani, sumienni, czego można więcej żądać? Ponadto, co jest naprawdę bardzo ważne w pracy zespołowej, panuje tu dobra atmosfera artystyczna. A to jest przecież istotne dla harmonijnej i efektywnej pracy czterdziestokilkusobowej ekipy aktorów, operatorów, techników, malarzy, tapicierzy, tapicerów. Praca takiego zespołu musi być doskonale zorganizowana. Jak przy montażu i demontażu cyrku — każdy robi swoje w oznaczonym miejscu i godzinie. Tyłko wtedy można osiągnąć sukces”. Tutaj duże zasługi przypisać należy tłumaczowi, p. Melnykowi. On to przekazuje aktorom koncepcje reżyserskie, reżyserowi aktorskie wątpliwości, on koordynuje pracę polsko-niemieckiej obsługi technicznej, słowem umożliwia sprawną pracę na planie. Jest wszechdobyłski i dyskretny, „szara eminencja” pionu.

3.

Cała ekipa z entuzjazmem opowiada o mającym powstać filmie. Superprodukcja — barwa, 70-milimetrowa taśma, znakomita technika fotografii — obrazy zmieniające się co kilka sekund, uzyskane przez pracę dodatkowych projektorów. Obrotowe drzewa, ruchome podłogi, cuda techniki, rozkosze cywilizacji naszych wnuków. Przyznam jednak, że nie w pełni po dziełach entuzjazmu dla filmowej fantazyjnej nauki. I nawet nie z przyczyny nikłej polskiej i niemieckiej praktyki filmowej w tym gatunku. Zrealizowaliśmy bowiem jeden film — „Mlecząca gwiazda” (wg powieści Lema) również w koprodukcji z NRD.

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

KOSMICZNY KLAPS



konstancja że w przestrzeni kosmicznej brak ciężenia, więc „Joe, wyszedłszy z rakiety od razu uniósł się nad jej głowicę”. Skaftandry, roboty, przynoszące miast kawy sok witaminowy, wszystko zautomatyzowane i pojawia się na sygnał elektroniczny — ta seria konwencji o charakterze technicznym zawiera mniej informacji naukowych, niż cała antologia filmów SF. Jednak wobec wciąż nowych rewelacji techniczno-naukowych, gatunek ten musi ulec pewnej metamorfizie, filmy stają się coraz bardziej noś-

szymi ryzyko? Kolditz jest jednym z bardziej wziętych i akceptowanych reżyserów niemieckich, parających się filmową rozrywką. Ma w swym dorobku około 25 filmów dokumentalnych i 12 fabularnych.

Sceneria przedstawia teraz międzyokład rakiety.

Jasne płaszczyzny ścian wnętrza — piakryl, polistyren, pleksiglas (do złudzenia przypominający anachroniczną ceratę). Pulpit sterowniczy, pełen skomplikowanych układów przyrządów i świateł. Przy nim w unifor-

— „Bogus, płatkę i dycheł! Dwunastkę też! — Niechże tam zgasa wreszcie administrację!” — rozlegają się głosy z góry, gdzie na drewnianej konstrukcji usadowiła się część ekipy operatorów. Mierzenie głębokości sceny, nasilenia światła — „Główna nieco w bok, Lewy, jeszcze — żyć sobie pierwszy operator. Jest to jeden z najlepszych operatorów „Defy”, Otto Hanisch. Wkrótce po zakończeniu zdjęć do „Sygnałów”.

Ludzka przyjaźń.

Dalszy ciąg ze str. 1

W ten to sposób policja carska bez uzgodnienia z zainteresowanymi wyznaczyła spotkanie intelektualistów, teoretyków i praktyków ruchu robotniczego Włodzimierzowi Illiczowi Ulianowowi, późniejszej jego żonie, pedagogowi i działaczowi ruchu robotniczego Nadieżdii Konstantynowne Krupskiej i prostemu, tyle, że umiętlenemu pisarce i czytelnikowi polskiego ruchu robotniczego Janowi Promińskiemu.

SZUSZEŃSKOJE — LATA 1897—1900. Szuszeńskie leżące na prawym brzegu Jenisieju u podnóża gór sajańskich było w tym czasie wsią liczącą ponad półtora tysiąca mieszkańców. We wsi była szkoła i niektóre urzędy szczebla gminnego. Z trzech osób specjalnie nas interesujących

pierwszy przybył tam Lenin. Przyjechał do Szuszeńskiego w połowie maja 1897 r. Pod koniec drugiej dekady czerwca przybył Jan Promiński ze swoją siedmioosobową rodziną. Blisko rok później przybyła tam i N. K. Krupka.

Lenin od samego początku zaprzyjaźnił się serdecznie z Promińskim. Bywał u nich, chodził z Promińskim na polowania i do miasta. Kiedy do Szuszeńskiego przyjechała N. K. Krupka oboje odwiedzali Promińskich i przyjmowali ich u siebie. Zarówno Lenin jak i Nadieżda Konstantynowna okazali dużo serdeczności licznej gromadzie dzieci Promińskich.

Wiadomości o Promińskich przewijają się w wielu listach Lenina i Krupskiej adresowanych do rodziny. I choć zachowały się one niekompletne, stanowią dość wymowną ilustrację tej przyjaźni. Wspomina o niej także Krupka we wspomnieniach o Leninie.

O przybyciu Promińskich Lenin informował rodzinę chyba bezpośrednio po ich przyjeździe. Przepuszczenie swoje opieram na tym, że w liście z 17 sierpnia 1897 r. Lenin pisze o Promińskim bez wyjaśnienia kim on jest, a więc jak o kimś znanym już odbiorcom listu. „Wybieram się do Minusińska, żeby załatwić parę sprawunków; lampę, pewne rzeczy na zimę itp.; mamy zamiar pojechać razem z Promińskim”. W innym liście, z 12 października tegoż roku,

adresowanym do matki Lenina pisze o tym, że lubi polować. „Ilekrót zdarza się pogodny dzień jesienny, (a w tym roku nie są one rzadkością), biorę strzelbę i ruszam na wólcę po lesie i polach; chodźmy prze-ważnie razem z Promińskim”. Informacje o wspólnych i bardzo częstych wyprawach myśliwskich Lenina z Promińskim i Engbergiem spotykamy w wielu listach Lenina i Krupskiej oraz w jej wspomnieniach. W liście do Marii Ulianowej pod datą 28 września 1898 r. Krupka pisze: „Rano przyszedł Oskar (Engberg — J.S.) i Promiński i zaczęli kusić Wołodę, żeby pojechał z nimi na polowanie na jakąś wyspę Aganita, na której — jak twierdzi — jest nieprzebrane mrowie zajęcy, a całe stado ciętrze-wi i kuropatw latają nieustannie w powietrzu. Wołodia wahał się z początku, ale w końcu dał się skusić, zwłaszcza, że dzień dzisiejszy jest prześliczny”.

W lutym 1898 r. Lenin pisząc do matki o stanie swojej garderoby i konieczności pewnych zakupów pisze z humorem o „talentach” Promińskiego jako kapelusznika: „Promiński wprawdzie zaczął już tutaj robić kapelusze (przypominające niekiedy... filcowe buty), ale nadają się one na wiosnę i na jesień, nie na lato”. I w tym samym liście nawiązując do niedalekiego terminu przyjazdu do Szuszeńskiego N. K. Krupskiej: „Jeżeli mamy jeszcze w domu jakieś dziecinne książki z obrazkami, to niech N. K. przywiezie je dla dzieł Promińskiego”. W tydzień później Lenin infor-

muje matkę o niepomyślnym toku spraw Promińskiego, któremu „z niewiadomych przyczyn zmniejszono zapomogę z 31 rubli miesięcznie (a ma pięcioro dzieci) do 21 rb. Za tę sumę siedem osób w Szuszy nie wyżyje w żaden sposób, kapelusznictwo zaś (jego zawód) nie ma tu widoków powodzenia”.

W pierwszej dekadzie maja 1898 r. przyjechała do Szuszeńskiego N. K. Krupka. W pierwszej części wspomnień o Leninie daje ona charakterystykę Promińskiego. „We wsi Szuszeńskie wśród zesłanych było tylko dwóch robotników: łódzki socjaldemokrata, kapelusznik Polak Promiński z żoną i sześciorgiem dzieci, oraz robotnik Zakładów Putilowskich Fin Oskar Engberg, obaj bardzo dobrzy towarzysze. Promiński był człowiekiem spokojnym, zrównoważonym i bardzo twardym. Mało czytał i niewiele umiał, ale posiadał niezwykle wyrobiony instykt klasowy”.

Zarówno Krupka jak i Lenin poświęcały wiele czasu na rozwijanie wiedzy marksistowskiej Promińskiego i Engberga, dawali do czytania książki i broszury, objaśniali niezrozumiałe partie, dyskutowali. Krupka czytała i dyskutowała z Engbergiem fragmenty „Kapitału”. „Kiedyś zastał nas przy tym zajęciu Promiński. Siedzi sobie i pyka fajeczkę. Zadaje jakieś pytanie w związku z lekturą, Oskar nie umie odpowiedzieć, a Promiński spokojnie, z uśmiechem odpowiada na pytanie”.

**SPIEW
CZARNEGO KOGUTA**

Autor tego zbioru reportaży zaczynał swą dziennikarską drogę tuż po wojnie w łódzkim „Głosie Robotniczym”. Próbował pióra w literaturze — napisał kilka wierszy i opowiadań ale reportaż pozostał dla niego gatunkiem najważniejszym. I właśnie w reportażu Bogusław Rajchert wypowiada się najlepiej.

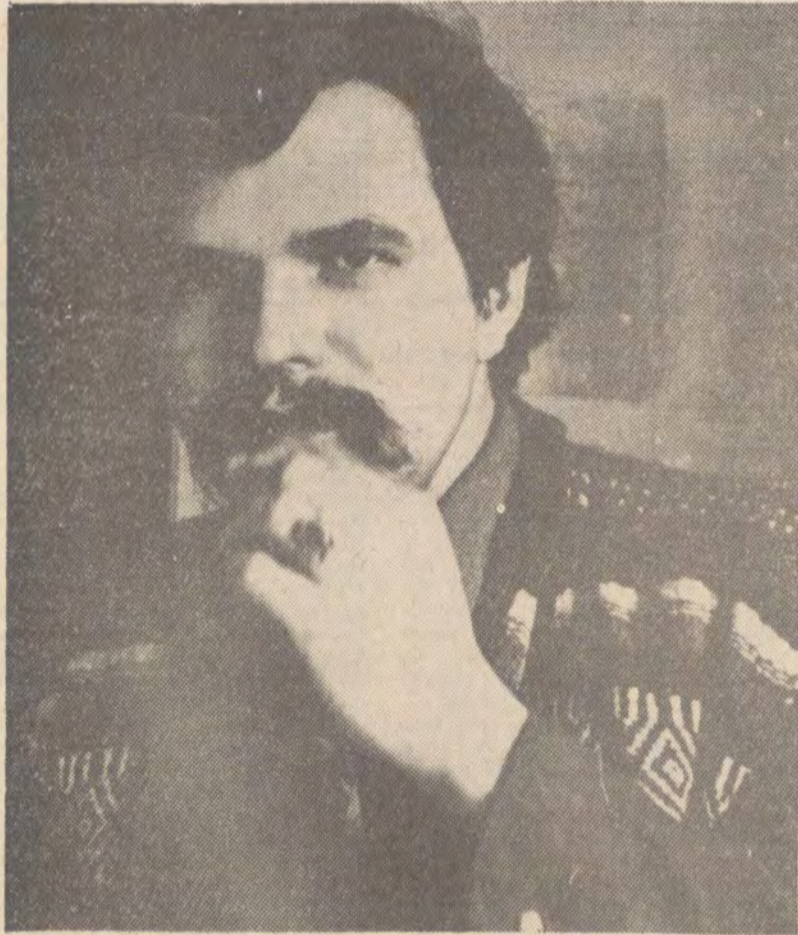
Tom „Śpiew czarnego koguta” jest tego najlepszym dowodem. Dziewiętnaście reportaży o ludziach i ludzkich sprawach — tragicznych i skomplikowanych. Są to głównie efekty bezpośredniej ingerencji dziennikarza w określone zdarzenia. A że Rajchert najchętniej porusza się po tzw. prowincji — są to zdarzenia z odległych wsi i małych miasteczek. Z terenu, który zwykliśmy znać z Polski powiatową.

Ale nie tylko. Prowincja w rozumieniu Rajcherta to nie tylko pojęcie geograficzne — to także, a może przede wszystkim, pojęcie społeczne, moralne i czasowe. Przejawy zła odsłaniane przez reportera najczęściej bowiem okazują się echem minionych czasów — minionych tak dawno, że dla współczesnego czytelnika porbrzmiewają egzotyka.

I jeszcze jedna bardzo istotna i mądra cecha tego reportera. Otóż Rajchert unika kategorię sądów i nieodwołalnych wyroków. Świat jego reportaży nie jest ściśle podzielony na regiony czarne i białe. Reporter stara się wyjaśniać mechanizmy zjawisk a nie unicestwiać bezlitosną krytyką. Stara się rozumieć ludzi o których pisze — dlatego jego krytyka nigdy nie jest krytyką absolutną.

J.W.

Bogusław Rajchert „Śpiew czarnego koguta” Iskry — 1969 cena 10 zł.



JOLANTA MACH

Hippie w sztuce i jego pies

Pewien młody człowiek, świeżo upieczony student wydziału humanistycznego uniwersytetu, poinformował mnie, że w Łodzi istnieją hippis. Brał udział w ich zebraniu, które pod nieobecność rodziców odbywało się w jednym z prywatnych mieszkań. Hippis, naturalnie długowłosi i malowniczo przyodziani, palił bardzo dużo papierosów i wspólnie milczeli. Tylko od czasu do czasu któryś z nich wygłaszał uwagę w rodzaju: „Życie to wielka rzecz”.

Kimże są ci młodzi ludzie? Uśwla damiam sobie, że przecież widuję ich na ulicach rodzinnego miasta. Otacza ich mnóstwo nieprzychylnych sądów, bowiem istotnie mogą trylować niecodziennym strojem, sposobem bycia, nawet chodem. Ten ostatni, rozkołysany jak krok kowbojów z Dzikiego Zachodu, o powolności rodem z filmów nowej fali, najwyraźniej zawadza w wielkomiejskim, zaferowanym ruchu. Kimże więc są hippis? Zawadzą? Poza? Czy kielkuje w nich ziarno poezji i nadziei, jakie każda młodość od wieków zawsze ma zasiane w duszy? Czy tylko — powiem brutalnie — tkwi tam papuzia, naśladowcza pustka?

Nie podejmuję się odpowiedzieć na te pytania.

Natomiast wiadomość o hippisach w Łodzi przypomniała mi historię kogoś, kto słusznie uchodził za hipisowsy pierwowzór. Lecz wydaje się, że spotkał go los piosenki: pozostaje anonimowy, jego nazwisko mało komu jest znane. A treści, które

reprezentuje, jak słowa piosenki za tary się w namrotaniu. Trwa jedynie warstwa najbardziej powierzchowna, melodia — czyli ubiór, jaki sobie upodobał i nosi.

Jest to Amerykanin robiący filmy, Stanley Brakhage. Mam jego zdjęcie sprzed sześciu lat: już wtedy nosił długie włosy, ba — nawet fantazyjne wąsy. Działalność na polu filmowym rozpoczął w roku 1952 w Nowym Jorku. W roku 1954 nakręcił film, zatytułowany „Studencka zabawa”, którym wyprzedził to wszystko, co potem zaczęło rozkwitać w Europie, głównie we Francji, pod mianem „kino-prawdy” (cinema-verite) i „filmu autorskiego”. „Studencka zabawa” dawała się porównać z powieścią lub z obrazem malarzkim, miała bowiem jak one jednego autora. Brakhage nakręcił ją rzeczywiście sam, przy pomocy lekkiej, przenośnej kamery. Nie opierał się na żadnym uprzednio napisanym scenariuszu i nie ustawił uczestników zabawy zgodnie z wymogami z góry powziętych wyobrażeń. Był po prostu jednym z zapro-

szonych gości, tyle, że zaopatrzoną w kamerę. Filmował to, co widział i tak, jak widział. „Studencka zabawa” stała się filmowym reportażem, ale reportażem zrobionym niejako „od wewnątrz” przez kogoś, kto także brał udział w akcji.

„Studencka zabawa” wpisała Brakhage'a w poczet tak zwanych niezależnych filmowców amerykańskich („niezależnych” — bo opozycyjnie nastawionych do Hollywood i w ogóle do komercyjnego kina). Wszedł do cyganerii, skupionej w nowojorskiej dzielnicy Greenwich Village — wylegarni hippis i „dzieci-kwiatów” i zdumiewających, szokujących pomysłów. Mimo szans nie pozostał jednak prorokiem między swymi. Mówi się dzisiaj o Brakhage'u „samotnik z Colorado”, bo tam w górskim wawozie, w odległości kilkunastu mil od siedziby nowego uniwersytetu, miasta Boulder i kilkadziesiątu mil od stolicy stanu, Denver — mieszka i pracuje z żoną, Jane, dwiema małymi córeczkami i psem, który wabi się „Brazowy”.

Własnymi siłami zbudował sobie i rodzinie domek, po zarobek — skromny na miarę skromnych potrzeb — jeździ do Denver, żeby realizować, bądź tylko montować realizowane przez innych, filmy reklamowe. I wraca obładowany prowiantem do kamery i do pióra. Piórem spisał „Metaforę o wizji”, które okazały się czymś więcej niż ujęciem nowej idei kina. Co bystrzejsi dostrzegli w nich sumę wiedzy o sztuce życia.

Brakhage pisze bardzo pięknie i muszę walczyć z pokusą cytowania. Zachwył dla wrażliwości niczym nie skażonej i chęć powstrzymywania naturalnego procesu dojrzewania — dla Brakhage'a równoznaczne z umiarem, wpływają w „Metaforach” zarówno z miłości ojcowiskiej, jak z doświadczeń artysty. Nawiasem mówiąc, spłót uczuć najczulsze, wzruszające ludzkich z wątpliwościami, jakie rzadko czym bywają udziałem, stanowią zapewne o uroku i pisarskiej i filmowej twórczości Brakhage'a... Obraz niemożliwa raczkującego po trawie zaczyna „Metaforę” i daje powód do pytań o ilość kolorów, jakie dostrzega oko, nieświadome „zielonego” ani praw perspektywy, oko, które „nie żywi przesądów co do logiki kompozycyjnej” i powód do troski o utratę „niewinności widzenia”. Ta utrata zdaniem Brakhage'a odzwierciedla „ruch jednostki ku śmierci”.

Na wstępie „Metafor” Brakhage wyczarowuje świat oglądany oczyma dziecka. Jest to kuszący świat „pełen niepojętych przedmiotów, tętniący nieskończoną różnorodnością ruchu, skracający się nieprzeliczonymi odcieniami barw”. Nie ma w nim jednak rozróżnień między brzydkim i ładnym, miłym i okrutnym, gdyż spojrzenie dziecka z jednakową ciekawością kieruje się ku wszystkiemu.

Zbliżam się do sedna Brakhage'owej historii, do opowieści o psie Siriusie, który w domu — warsztacie pracy Brakhage'a był poprzednikiem Brazowego. Oboje Brakhage'owie bardzo Siriusa kochali. Kiedy przyszedł czas Sirius, Jane nie

pozwoili go pogrzebać. Tłumaczyła, że rzecz naturalną jest spotykać w lesie kości martwych zwierząt, Sirius leżał więc pod drzewem, w dolinie, którą Brakhage'owie nazwali szczęśliwą.

Film, jaki Brakhage poświęcił Siriusowi, powstał równocześnie z pisaniem „Metafor” i nie pomylił się zapewne, widząc w nim ukoronowanie wątków myślowych, przewijających się w tamtej pracy. Kręcony był, jak każdy film, który robi Brakhage, spontanicznie, z nieodpartego nakazu wewnętrznego. Ale w wyniku końcowym nabrał kompozycji niemalże doskonałej, porównywalnej z muzyczną. Motyw śmierci ukazywany jest w trzech różnych wariantach o zmiennym napięciu uczuciowym. W części pierwszej — niby w allegro vivace — Brakhage próbuje ruchami kamery jakby ożywić przyjaciela. W drugiej — w allegro maestoso — śnił i mróz czynią z Siriusa posąg. W finale, znowu gwałtownym i szybkim rytmicz nie, przychodzi wiosna. Pies, na którego woła się po prostu Brazowy, ogryza rozkładające się szczątki Siriusa. Brakhage mówi, że od Bacha nauczył się, iż w sztuce nie ma powtórzeń. Motyw, jeśli powraca, musi powracać inaczej.

Jednakże nie kompozycję pragnęłam podkreślić w filmie o Siriusie. Szło mi o śmiałość widzenia, o zwrócenie kamery na ciało w rozkładzie. Konsekwencją patrzenia na świat w sposób szczery i otwarty — właśnie jak dziecko — jest nie pomijanie w nim niczego.

Hippis — donosi prasa zachodnią; pragną podobnie patrzeć na świat. Kiedy wszakże przyjrzymy się tym młodym ludziom, wyda się nam, że, przeciwnie, przykrywają oczy. Hippis gardzą cywilizacją, są dziwnie przebrani, nieraz brudni. Te zarzuty — dotyczące braku dbałości o strój i higienę, i negacji zdobywczy dorosłych (ostatecznie, rzadko zdarzali się młodzi ludzie, którym bez zastrzeżeń podobałoby się to, co zastali) — nie są zbyt poważne. Poważnym zarzutem jest oskarżenie hippisów o bierność.

Cywilizacja zdaje się przejmować hippis odrazą i lękiem. Zamiast ją przezwyciężyć, odwracają się od rzeczy i spraw, które budzą w nich lęk. Dlatego starałam się przypomnieć łódzkim hippisom historię Brakhage'a. Wartość filmu o Siriusie polega między innymi na tym, że artysta — prawór hippisów obiektywizuje w nim własny lęk (w tym wypadku przed śmiercią). Obiektywizuje, czyli przedstawia w formie osobnej i wyraźnej — dodajmy, że nie innego nie czynili artyści jaskiniowcy, wyróżniający w skalnych ścianach kontury zwierząt, na które z narażeniem życia polowali i których w inny sposób nie mogli schwytać.

Oczywiście, mało który z hippisów jest artystą, bądź dźwiga w sobie zadatki na artystę. Lecz szarzy ludzie również posiadają zdolność pokonywania lęku. Odbywa się to drogą przemysłu, tworzenia obrazu wewnętrznego na własny tylko użytek. Od człowieka zależy, ile ten obraz będzie miał siły i czy dorówna istniejącemu konkretnie tworowi artystycznemu.

Z korespondencji wynika, że tak radości jak i troski każdego z grupy zesłańców, przebywających w Szuszeńskoj stawały się udziałem i były przeżywane głęboko przez resztę towarzyszy. Świadczy o tym dość wyraźnie urywek z listu N. K. Krupskiej do M. A. Ulianowej, matki Lenina z dnia 10 stycznia 1899 r., w którym donosi ona o nastroju i przygotowaniach do przyjęcia na ostatki gości — zesłańców zamieszkałych w Minusińsku: „Na ostatki wszyscy zapowiedzieli się do nas, do Szuszy. Teraz więc my, obywatelki szuszeńskie, z Oskarem i Promińskim włącznie, wciąć marzymy o przyjeździe gości, planujemy już gdzie kogo ulokować, czym najlepiej ich uraczyć i tak dalej”.

23 października 1899 roku kończył się Promińskiemu okres zesłania. Nawiązując do tej sprawy Nadieżda Konstantynowna pisała 3 lipca 1899 roku do M. A. Ulianowej: „Na jesieni kończy się termin zesłania Promińskiego i oni stoją wobec problemu, czy ich zawiozą na koszt państwa, czy też nie, bo na własny koszt nie będą mogli wyjechać, rodzina duża — 8 osób. Przez ten czas bardzośmy się przyzwyczaili do naszych szuszeńskich towarzyszy, jeżeli któregoś dnia nie przyjdzie z jakiegoś powodu Oskar albo Promiński, to jakby czegoś brakowało...”.

Promińskiemu w jego staraniach o uzyskanie pieniędzy na przejazd do kraju pomagał Lenin pisząc mu podania do władz. Ale starania te okazały się bezowocne po-

nieważ Promiński mimo odbycia kary nie otrzymał zezwolenia na powrót do Polski. W doręczonym mu z departamentu policji zawiadomieniu poinformowano go, że w oparciu o rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych zabrania mu się, jako niebezpiecznemu politycznie, zamieszkiwania przez okres następujących dwóch lat w stolicach, miastach gubernialnych, wszystkich większych miastach, w europejskiej części Rosji w ogóle, a także na Syberii w Krasnojarsku i Irkucku oraz w powiatach, których te miasta były siedzibami. Tak więc praktycznie Promińskiemu przedłużono okres zesłania pozwalając mu tylko zmienić miejsce. Po wyjeździe z Szuszeńskoj osiedlił się Promiński na stacji kolejowej w Bogomole guberni permskiej, a później na stacji Tajga kolei syberyjskiej, gdzie pracował na różnych stanowiskach w służbie ruchu.

ROK 1920. DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ. Dwadzieścia lat burzliwych dziejów Rosji. Dwadzieścia lat pełnej napięcia i ogromnego wysiłku pracy Lenina. W owym okresie szczególnie pracowite i wyczerpujące były dla Lenina lata organizowania państwa radzieckiego i walki z kontrrewolucją. A jednak w tych trudnych dniach Lenin przypomniał sobie przyjaciela, z którym przed przeszło dwudziestu laty dzielił los zesłańców. 10 czerwca 1920 r. Lenin jako przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych wysłał z Kremia dwie identycznie brzmiące depesze, jedną do Irkuckiego Gubernialnego Komitetu Wykonawczego RKP(b), a druga

do przewodniczącego Sybirskiego Rewolucyjnego Komitetu w Omsku. W depeszach tych Lenin pisał:

„Proszę okazać wszelką pomoc mojemu towarzyszkowi ze zsyłki w Sybirze Janowi Promińskiemu — smarownikowi wagonów w Innokientiewskiej parowozowni. Adres Innokientiewskaja, czwarta Targowa dom Łukjanowa N. 195. Proszę przekazać mu za pośrednictwem telegrafu moje pozdrowienia i na koniec proszę przelanieć go na Altajską linię kolejową na lepsze stanowisko. On już stary. Telegrafujcie co zrobiono, Lenin”.

Promińskiego odnaleziono wraz z rodziną w Irkucku. Zastępca przewodniczącego Gubernialnego Komitetu RKP(b) Liukow 28 czerwca 1920 r. depeszcował do Lenina: „Promiński zdrowszy jedzie na Altaj. Być może będzie w Moskwie”. Miesiąc później przewodniczący Syberyjskiego Rewolucyjnego Komitetu w Omsku depeszcował do Lenina: „10 lipca Promiński pojechał na osiedlenie do Sudżeńskich Kot. Zgodnie z jego prośbą dano mu możliwość pojechania do Moskwy i zobaczenia się z Wami”.

Do spotkania doszło w końcu lipca. Promiński nie zastał Lenina w domu. Przyjechał go N. K. Krupka. Po pewnym czasie wrócił Lenin. Spotkanie było tak serdeczne i bezpośrednie jak i kontakty w Szuszeńskoj. Lenin z Promińskim wycelowali się serdecznie i spędzili długi czas na rozmowie.

Na drogę Promiński dostał list rekomendacyjny.

„Okazicieł niniejszego Jan Łukaszewicz Promiński mój stary towarzysz ze zsyłki. Proszę wszystkie władze kolejowe i inne o okazanie mu wszelkiej pomocy w przejeździe z Moskwy do stacji Sudżeń. Proszę okazać mu pomoc na Dalekim Wschodzie. 31. VII. 1920 r. Przewodniczący Rady Komisarzy — W. Ulianow (Lenin)”.

Jakie były losy rodziny Promińskich od czasu wyjazdu z Szuszeńskoj? W latach 1905—1907 zarówno Jan Promiński jak i jego dwaj synowie Leopold i Bolesław, wierni swoim proletariackim tradycjom, brali udział w strajkach. W latach rewolucji październikowej i walk z interwentami cała rodzina walczyła o władzę radziecką w Jenisiejskim kraju. Jeden syn zginął w walce, drugi cudem uszedł śmierci. W 1923 roku 74-letni Jan Promiński zdecydował się wracać do Polski. Do ojczyzny nie było mu jednak dane wrócić. Zmarł w drodze na tyfus płamisty. Rodzina jego pozostała na stałe w Związku Radzieckim.

JÓZEF ŚMIALOWSKI

^{*)} Opracowano na podstawie materiałów archiwalnych z Centralnego Państwowego Archiwum Rewolucji Październikowej w Moskwie. Zespół Rady Komisarzy Ludowych, Listów Lenina i N. K. Krupskiej adresowanych do rodziny opublikowanych w 37 t. Dziej Lenina oraz Wspomnień N. K. Krupskiej o Leninie.

JAN HUSZCZA

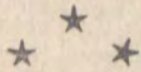
Po wielu zmianach adresu

Tylko jedno zdjęcie ojca. Stoi z nieznanym mi swoim przyjacielem. Oba mają dziewczki, rozpięte między kieszonkami kamizelek. Ojciec już lysiejący, ale jeszcze kawaler.

Porozmawialibyśmy dłużej o waszych, naszych stronach. Może jest tam jeszcze choć jedno okno, którym wyście wyglądali, ja.

Tylko jedna fotografia ojca, więc w jego życiu nic się zmienia. Porozmawialibyśmy dłużej, ale nie mam dla was czasu, może za to wy możecie mieć dla mnie trochę litości, trochę wyrozumienia?

3.V.1969



W odwilży pachnie zleżate igliwie podściółka puszczy z której został jeden modrzew i jedna brzoźka

Między topniejącym śniegiem a zamazaną ziemią można usłyszeć ślady zaprzeczonych zwierząt

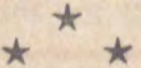
Nad tą okolicą panuje Biuro najwyższy budynek osiedla

Siwowłosy woźny który dwa razy był w szpitalu psychiatrycznym co noc słyszy tura turzącego pomstę

Wychodzi ze staroświecką latarnią by przejrzeć niebezpieczeństwo zatacza nią kręgi mżące rudzina

Wszyscy się z niego śmiejemy

7.8.1.1968



Przenika, w ciele pulsuje właściwie nie wiadomo co, że i śpiąc dotkliwie czuję, dzień jak statek pójdzie na dno.

Dzień miewa z świergotu ranek, rudzina rozjaśnia go kłon, sąsiedzki zaprasza ganek, więc dlaczego słyszy się dzwonek?

Dzień ma jabłeczne południe, rzeczułki wtóruje mu głos. Szeleści przeczucie grudni, choć można się wtulić we wrzos.

Gdy mgłami nasiąkł przedwieczerek, w chmurze został złoćisty wiór. Czesz włosy, dziewczyno, nie czesz, we mgłę słyhać żalobny chór.

I ja miewałem koronę, więc może pochwalić i to, że z sadem, z głosami, z kłonem dzień jak statek idzie na dno?!

30.VI.1969

GUENTER GRASS

PSIE LATA

(fragment)

Strachy na wróble Eduarda Amsela

Strachy na wróble! Uważa się tutaj, że mały Eduard Amsel nie miał początkowo zamiaru — aczkolwiek jako mniej więcej pięcioletni chłopak zbudował już pierwszy godny stwór — sporządzać strachów na wróble. Ludzie ze wsi i przejezdni agenci objeżdżający tę wysepkę z ubezpieczeniami od ognia i z próbkami ziarna siewnego, chłopci wracający od notariusza, wszyscy, którzy przypatrywali się jemu i jego figurom poruszającym się na wietrze na wale przy moście Schiewenhorst, spoglądali w tym kierunku; Kriwe zaś mawiał do Herberta Kienasta „Kumie, patrzcie no się tam, co też to temu Amselewi jego synek zrobił, żyweści to strachy na wróble”. Od chwili chrztu jak również i później nie miał Eduard Amsel nic przeciwko ptakom; ale wszystko, co z prawej i lewej strony Wisły lekko jak ptaki unosiło się na wietrze, miało coś przeciwko jego twórom zwanym strachami na wróble. Te zaś, a codziennie budował jednego, nigdy nie były do siebie podobne. Co w ciągu trzech godzin zrobił wczoraj z pasiastych spodni, z lachmanu kurtki w dużą kratę, z kapelusza bez runda oraz z pomocą niekompletnej i łamliwej drabiny i świeżych gałęzi wierzb, zdzierał w następnym dniu i budował z tych samych rekwizytów unikat innego rodzaju, innej wiary — w każdym bądź razie twór, który nakazywał ptakom trzymać się z dala.

Ale skoro z jednej strony te wszystkie nietrwale budowle zdradzały pilność i udział fantazji budowniczej, to jednak dopiero czujny zmysł rzeczywistości, spoglądające znowu grubych policzków ciekawe oko Eduarda Amsela były tym, co wyposażało jego produkty dobrze zaobserwowanymi szczegółami, pozwalało im funkcjonować i czyniło z nich twory straszące ptaki. Od ogólnie przyjętych strachów na wróble, chybotających się naokoło w sadach i na polach, odróżniały się one nie tylko formalnie lecz także w efekcie; podczas gdy jakieś pierwsze lepsze strachy mogły ze strony świata ptaków uzyskać zaledwie niewielkie oznaki uwagi, jego twory, zbudowane bezcelowo i przeciwko niemu posiadający wewnętrzną możliwość powodowania paniki wśród ptaków.

Jego strachy na wróble wydawały się być żywe — jeśli im się wystarczająco długo przypatrzyć — były zupełnie żywe: w trakcie swego powstawania — nawet jako tors, kiedy stały obdarte, finiszowały nad groblą, kiwały na biegających po groblach, groziły, atakowały, waliły, pozdrawiały się od brzegu do brzegu pozwoliły się unosić przez wiatr, rozprawiły ze słońcem, błogosławiły rzekę i jej ryby, liczyły topole, prześcigały chmury, zrywały wieże kościołów, chciały ulecieć w niebo, wsiąść na prom, prześladować i uciekać, nigdy nie były anonimowe, lecz przedstawiały rybaka Johanna Lichfetta, pastora Blecha, to znowu często przewodnika Kriwe, który z otwartymi ustami przekrzywiał głowę, kapitana Bonsarda, inspektora Haberlanda i kogo jeszcze można było spotkać w tej nizinnej krainie. Tak właśnie kościelnik majorowa von Ankum, mimo iż jej mająteczek znajdował się w Klein-Zunder rzadko przestawała na promie, osiadała na grobli w Schiewenhorst jako baba-kolos strasząca ptaki i dzieci, i utrzymała się tam przez trzy dni.

Trochę później, gdy Eduard Amsel zaczął chodzić do szkoły, pan Olszewski, młody nauczyciel ze szkoły wiejskiej w Nickelswalde (bo Schiewenhorst nie utrzymywało szkoły) został tym, który musiał siedzieć cicho, gdy jego najbardziej piegowaty uczeń zatknął go jako stracha na wróble na dużej wydmie na prawo od ujścia rzeki. Między dziewięcioma wykrzywionymi przez wiatr sosnami, na grzbiecie wydmy, postawił Amsel sobowtóra nauczyciela i plastycznie rozpostarł u jego stóp z płótna zeglarskiego garkowato równą wysepkę, od Wisły aż po Nogat; oprócz tego nizinę aż do wież miasta Gdańska, aż po pagórki i lasy za miastem, do tego rzekę od ujścia aż po horyzont, otwarte morze aż po wyczuwany w dali półwysep Hel łącznie ze statkami zakotwiczonymi na redzie.

(...) Równoległe do lekcji, dostosowane do materiału nauczania, poprzez

promruk lata i brzęczenie much, rozsiewanego przez nauczyciela Olszewskiego między drzemiącymi uczniami, powstawały jeden za drugim twory straszące wróble, modelami których były oprócz bogów — szereg Wielkich Mistrzów Krzyżackich zaczynając od Hermanna Balke, poprzez Konrada Wallenroda aż po Jungingena; pobrękiwało dużo zardzewiałej blachy falistej, a na naszpikowanych gwoździakami klepkach wycinały się w białym olejnym papierze czarne krzyże. Naprzeciw mistrzów Kniprode, Letzkau i von Plauen musiał ten i ów znieść Jagiellę, Kazimierza Wielkiego, osławionego rozbójnika Bobrowskiego, Beneke, Martina Bardewieka i biednego Leszczyńskiego. Amsel nigdy nie mógł się nasycić historią prusko-brandenburską; grasował w stuleciach od Albrechta Achillesa aż po Zietena z osadów wschodnioeuropejskiej historii tworzył strachy na wróble przeciwko ptakom nieba.

(...Ten strach powstał trochę później. Przez lato był on ostatnim jakiego zbudował Amsel. Bo jako dzieło końcowe przeszło ono pod tym zapewne ironicznie pomyślanym tytułem „Wielgachny Ptak Piepmatz” — prawdę mówiąc to nie Amsel lecz przewodnik Kriwe zaproponował tę nazwę — jako szkic konstrukcyjny i kolorowe studium do owego diariusza, który dziś jest jeszcze względnie bezpieczny w sejfie Brauxela.

Lachmany — tak to mniej więcej nazywa się w diariuszu — powinny być posmarowane siarką i smołą. Lachmany posmarowane smołą i siarką powinny być oblepione od zewnątrz dużymi i małymi piórami, a jeżeli jest ich wystarczająco dużo, to również i od wewnątrz. Ale w sposób nienaturalny, nie zaś naturalny.

Wysmolowany i upierzony Wielgachny Ptak Piepmatz, gdy już był gotów — rozmiarami przewyższający człowieka i wzbudzający sensację na grobli — miał naprawdę nienaturalnie nastroszone pióra. W całości wyglądał niesamowicie. Uciekał przed nim nawet najbardziej szczerwane baby, ponieważ twierdziły, że można zapatrzyć się w bydiaka, dostać wola, wytrzeszczyć oka, czy też poronić. Mężczyźni wprawdzie pozostawali sztywni na swoich miejscach, zapomnieli jednakże zapalać fajki. A Johann Lichfett mawiał: „Drogi kumie, toć bym tego nawet w prezencie nie chciał dostać”.

O kupca było trudno. Wielgachny Ptak Piepmatz mimo smoly i piór był niedrogi. Przed południem samotnie wyrastał w niebo na grobli w Nickelswalde. Dopiero gdy dojeżdżający uczniowie powracali z miasta, niektórzy z nich jakby przypadkowo przechodzili wzdłuż grobli, zatrzymywali się jednak w należytej odległości, oceniali, wypowiadali swe zdanie, targowali ale nie chcieli kupić. Ani jednej mowy nie było wydać na bezchmurnym niebie. Myszy przeniosły się z grobli.

Ani jeden ptak nie odważył się zawieźć. Wiatr morski targał wysmolowane pióra. Koty dostały hysterii i

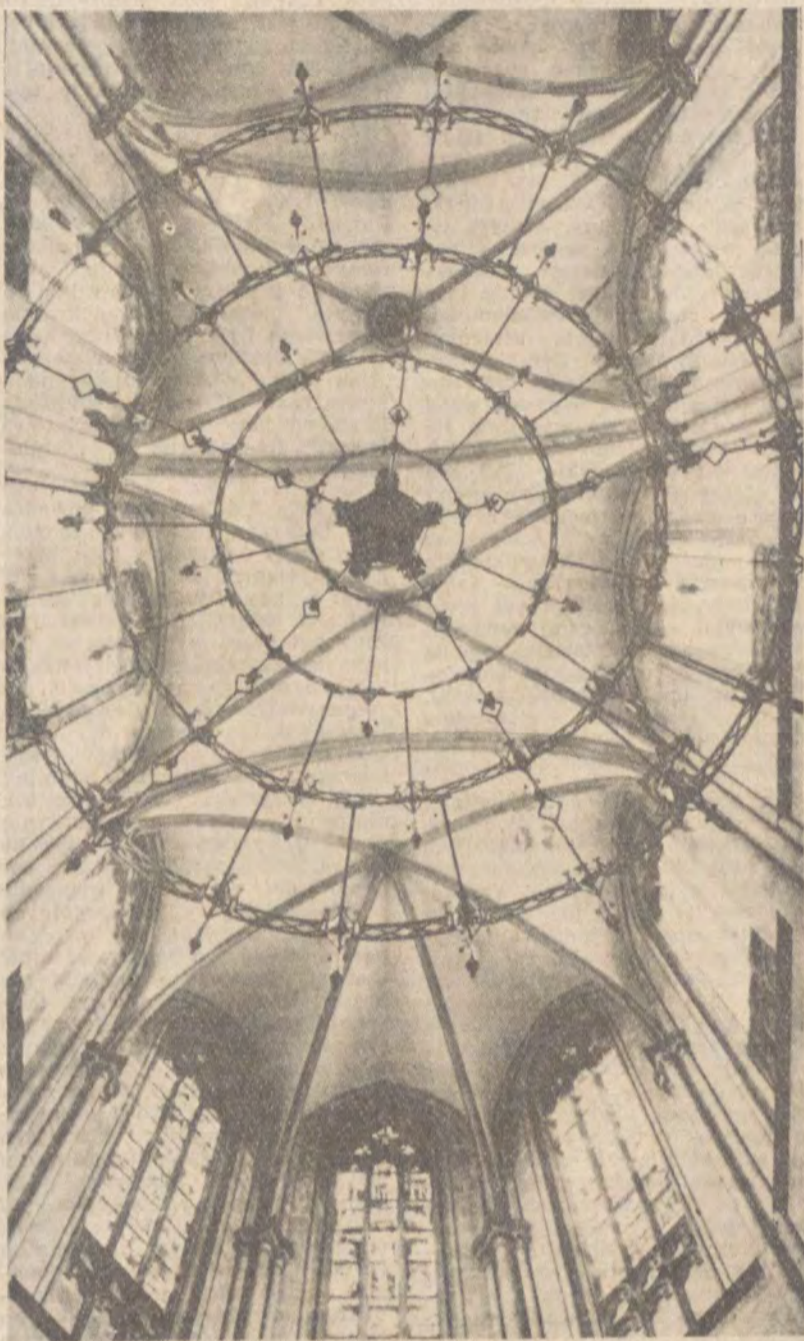
omijały wieś. Dzieci omijały go z daleka, nocą śniły poczęć się i budziły się z krzykiem i z białymi czubkami palców. W Schiewenhorst Hedwig Lau zachorowała na migdały a na dobiełek dostała nagłego krwawienia z nosa. Staremu Folchertowi przy rąbaniu drzewa wleciał odprysk do oka. Ten stan długo nie chciał się poprawić. Kiedy babka Matern wpadła do Kurnika, wielu mówiło, że sprawił to właśnie Wielgachny Ptak; do tego jeszcze kury i kogut rozlekaly wszędzie już od tygodni słomę w dziobach, co zawsze oznaczało czyjąś śmierć. W domu młynarza wszyscy, najpierw biedna Lorchen, słyszeł kurnika — zegar śmierci. Babka Matern wzięła te wszystkie znaki na serio i poprosiła o ostatnie namaszczenie. Zaopatrzona w nie umarła między rozlewającymi się kurami. W trumnie wyglądała właściwie łagodnie. Miała na sobie białe rękawiczki i trzymała w krzywo złożonych palcach koronkową, pachnącą lawendą chusteczkę. Niestety zapomniano wyciągnąć jej spinki do włosów zanim zamknięto trumnę i spuszczone ją do, po katolicku wyświęconej ziemi. Na podstawie tego niedopatrzona dały się wytłumaczyć owe ostre bóle głowy, które natychmiast po pogrzebie napadły młynarzową Matern, z domu Stange, i już nigdy nie chciały ustąpić.

Gdy zwłoki leżały w izbie złożonej na marach, a ludzie w sztywnych ubraniach tłoczyli się w kuchni i na schodach prowadzących do izby i marowali nad jej zwłokami: „nie musi więcej jeść”, „nie musi się martwić”, „nareszcie wyzwoliła się z trosk a teraz ma wieczny spokój”, przewodnik Kriwe zapytał, czy może dotknąć jednego ze swoich nielicznych zębów, który rwał go już od kilku dni i był zaropiał, prawym palcem wskazującym umarłej. Młynarz, stojąc między oknem a fotelem i bardzo dziwnie wyglądając w czerni, do tego poza zasięgiem zmieniającego się światła, ponieważ nowy młyn jeszcze nie był uruchomiony, skinął wolno głową; bardzo wolno ściągnęto babce Matern prawą rękawiczkę i Kriwe przejechał bolącym zębem po powierzchni jej wykrzywionego wskazującego palca; światły a zarazem śmieszny moment cudownego leczenia; anioł dotyka, kładzie rękę, głaszcze pod włos oraz krzyżuje palce. Zółwia kręw, wronie oko, kobyłe mleko. Przez dwanaście nocy wylewał po trzy razy za prawe ramie, siedem razy na wschód. Spinki do włosów, włosy łonowe, meszek z karku. To wszystko wykopać i rozyspać z wiatrem. Wypić trochę mocz, resztę wylać za próg. To wszystko należy zrobić samemu jeszcze przed planem koguta na świętego Mateusza. Trucizna z kakaolu, tłuszcz z noworodka, pot konającego, przeszcierać po umarłym, palec nieboszczyka; ponieważ faktycznie po dotknięciu krzywym wskazującym palcem nieboszczyki babki Matern zeszała ropa z zęba Kriwego. Ustąpił również i ból, ściśle według zabobonu, że palec umarłego leczy bolący ząb. Kiedy trumnę wyniesiono z domu i kołysząc nią przechodzone obok gospodarstwa Folcherta a później obok domku i ogródka nauczyciela, jeden z niosących trumnę potknął się, ponieważ Wielgachny Ptak Piepmatz stał nadal niesamowicie w ogródku nauczyciela. Potknięcie się naturalnie coś oznacza. Potknięcie się jest przepowiednią. Potknięcie się jednego z niosących trumnę miało w końcu decydujące znaczenie: chłopci i rybacy wielu wiossek wnieśli petycję do nauczyciela Olszewskiego i grozili, że jeszcze ostrzejszą złość u inspektora szkoły.

TŁUM. Z NIEM.

BIBIANN B. SOJKA





JAN KOPROWSKI

Od wieku XVII do współczesności

Było to nadzwyczajne spotkanie germanistów Polski i NRD. Przez trzy dni obradowali oni w salach Uniwersytetu Warszawskiego. Przez trzy dni stuchaliśmy referatów i wypowiedzi dyskusyjnych na tematy stosunków niemiecko-polskich w dziedzinie literatury. Polscy germaniści mówili po niemiecku a niektórzy referenci z NRD — po polsku. Dzień pierwszy i trzeci miały charakter plenarny, drugiego dnia obrady toczyły się w trzech sekcjach. Dla piszącego te słowa (a zapewne nie tylko dla niego) był to dzień mocno kłopotliwy. Gdzie pójść, co wybrać? Program wiele interesujący w każdej sekcji. Hubert Orłowski z Poznania mówił o polskich przekładach Tomasza Manna, Konrad Gajek z Wrocławia referował losy dramatów Bertolta Brechta na naszych scenach, Olga Dobijanka z Krakowa przedstawiła dzieje „Werthera” Goethego w Polsce, a Karol Sauerland z Warszawy wygłosił referat poświęcony najcięższemu polskiemu germaniście, Zygmuntovi Lempickiemu.

Ten ostatni temat zgromadził sporo słuchaczy. Mała salka wykładowa była pełna, wśród obecnych znalazł się nestor germanistów polskich — Zdzisław Zygułski, który po odczytaniu Sauerlanda mówił o swoich osobistych kontaktach z prof. Lempickim. Jego wystąpienia słuchało się z przyjemnością, i gdy prof. Zygułski skończył, ogarnął nas żal, albowiem chciałoby się słuchać dalej tych ciekawych wspomnień. Zygmuntovi Lempickiemu na naszym polskim gruncie rzadki przy-

kład profesora uniwersytetu, który nie zamyka się w swej wąskiej specjalności. Był to nie tylko znakomity uczyony o żywym stosunku do współczesności, pisał nie tylko dzieła naukowe, zajmował się także krytyką teatralną i muzyczną, był redaktorem dziennika, pasjonował się go problemami wychowania i dydaktyki. Prof. Zygułski powiedział: „Kiedy on na to wszystko znajdował czas, trudno dociec”. Przed wojną słuchałem wykładów prof. Lempickiego. Nie był on tak znakomitym wykładowcą, jak np. prof. Stefan Witwicki, który potrafił zafascynować słuchaczy, ale posiadał coś, co zniewalało, mianowicie umiał wydobywać z przeszłości to, co wciąż żywe, a we współczesności upatrywać następstwa wydarzeń i faktów dawno przeminionych.

Goście z NRD przygotowali szereg referatów i wypowiedzi, wzbogacających wydatnie program sympozjum. „Obraz Polski w twórczości Theodora Fontane” Dietera Sommera, „Niemieckie tłumaczenia „Pana Tadeusza” Aloisa Hermanna, „Powieść polska w tłumaczeniach na język niemiecki w Ingrydy Kuhnke — oto niektóre z tematów, ujawniające stopień zainteresowania literaturą polską w Niemczech i recepcję dzieł autorów polskich na obszarze niemieckiego języka. Trochę mnie zawiódł Guenter Hartung, mówiący o motywach polskich w twórczości Johanna Bobrowskiego i Guentera Grassa, nie do tyła jednak, by żałować, że go wysłuchałem.

Myślę, że nikt z uczestników konferencji nie czuł się zawiedziony. Trzy dni (28—30 października br.)

wypełnione od rana do wieczora zajęciami poszerzyły naszą wiedzę o wzajemnych stosunkach polsko-niemieckich. Zarazem udowodniły, jak mało o sobie wiemy, i jak wiele jeszcze pozostało do odkrycia i do zrobienia. Florian Witczak, mówiąc o osobistych kontaktach Goethego z Polakami, stwierdził, że sporo tu do przebadania, i że nie wszystko, co na ten temat napisano, odpowiada prawdzie, a sprawy pominięte lub nie ujawnione czekają na wyświetlenie. Również w bardzo ciekawym referacie Elidy Marii Szaroty „Polska w opinii poetów i uczonych niemieckich XVII wieku” dotknięto zaledwie terenu spraw mało znanych, czekających wciąż na swojego Kolumba.

Czytelnika ciekawi z pewnością, z czym na tę konferencję przyszedł germanista łódzki. Program przewidywał wystąpienie Arno Willa o znaczeniu twórczości A. Bronikowskiego dla niemieckiej powieści o tematyce polskiej pierwszej połowy XIX wieku, ale referent zachorował i nie wziął w ogóle udziału w spotkaniu. Z tych samych powodów (choć roba) nie przybyła na sesję Maria Kofta, kierownik Katedry Germanistyki w Łodzi. Germanistka łódzka jest młoda, egzystuje parę lat zaledwie i nie może równać się z takimi potęgami jak Warszawa, Wrocław czy Poznań, a przecież żał, że tak to jakoś wypadło i Łódź nie zaznaczyła swojego aktywnego uczestnictwa w pierwszej tego rodzaju imprezie, zorganizowanej z okazji 25-lecia PRL i 20-lecia NRD.

Nie powiedziałbym pełnej prawdy, gdybym nie dodał, że pod względem organizacyjnym konferencja nie stała na najwyższym poziomie. Nie zadano o powielenie i rozdanie uczestnikom referatów (co z pewnością wpłynęłoby na ożywienie dyskusji), nie funkcjonowała należąca obsługa informacyjna, a i warunki lokalowe pozostawiały nieco do życzenia. No cóż — pierwsze koty za pioty. Miejmy nadzieję, że następna konferencja germanistyczna i od tej strony mieć będzie znacznie lepszą oprawę. Bo że konferencje tego rodzaju winny się odbywać regularnie — u nikogo z obecnych nie budziło to wątpliwości.

JERZY KWIECIŃSKI

SPRAWA

Samotności

Małą kielecką mieścinę, nazwa na przez autora Miasteczkiem, odwiedza po przeszło dwudziestoletniej nieobecności dawny partyzant. Szuka spotkań ze starymi znajomymi — towarzyszy broni z partyzanckiego batalionu, którego dzieje posłużyły mu za kanwę powieści i przysporzyły sławy nie tylko w kręgu osób bezpośrednio zainteresowanych. Po co przyjechał tu z wielkiego miasta po tylu latach, jako znany i uznany pisarz, dla którego tamte dzieje — przetworzone już literacko — powinny być sprawą zamkniętą?

Okazuje się, że bohater, który jest jednocześnie narratorem powieści Jażdżyńskiego, stał się w latach powojennych przedmiotem niesusznym podejrzew politycznych na skutek intryg, w które mógł go wplątać z ni-

skich pobudek jedynie ktoś z kręgu dawnych towarzyszy walki.

Kto z tych ludzi mógłby znieść się do takiej podłości? A może już wtedy, w plutonie, nie wszyscy byli szczerze sobie oddani? „Czy to możliwe, żeby w latach wojny jeden bronił drugiego przed śmiercią, a zabijał w czasie spokojnym?” Oto sprawa, którą trzeba koniecznie wyświecić, za cenę zachowania lub utraty wiary w ludzi!

Najzupełniej możliwe, a niekiedy nawet nieuniknione — tak by tu od razu należało odpowiedzieć na zbyt ogólnikowo postawioną kwestię: możliwe, jeśli czas pokoju oznacza tylko ustanie walki z wrogiem zewnętrznym a przeobraża się w krwawą walkę wewnętrzną i jeśli rozejdą się polityczne drogi

dawnych towarzyszy broni. Wtedy zabijanie nie mieści się w kategoriach zdrady — jak to znamy choćby z Szolchowa czy Babla, co wyjaśnijmy dla dobra zrozumienia utworu. Nie tej bowiem problematyce poświęca główną uwagę bohater powieści Jażdżyńskiego, przyjmuje on bowiem, że ideała bliskość ludzi batalionu BCh przetrwała i po wyzwoleniu, toteż stanięcie po przeciwnej stronie oznacza nie tyle przejście na stronę wroga, ile raczej naruszenie stosunków współzycia obowiązujących pomiędzy ludźmi, którzy wspólnie przelewali krew. Nierówność tej wzięci, oto sprawa, która zachwiała wiarę bohatera w „wierność, przyjaźń, zaufanie”.

Więc — kto? W dokonywanej retrospekcji bohater odwarza w rozmowach z dawnymi kompaniatami zatarty już w pamięci przebieg wydarzeń, zagłębia się w domniemane motywy cudzych pobudek działania sprzed dwudziestu lat, ale jego podejrzliwość ciągle nie znajduje zaspokojenia. Traci zaufanie do własnych zdolności poznawczych, przestaje rozeznawać się w ludziach, od których odsunęły go nie tylko przykre przeżycia, ale i własna podejrzliwość. Chwila mi przeblisnęła mu świado-

mość: „To ja, człowiek samotny, kreuje w sobie subiektywne światy, wyobrażenia o ludziach, a im głębiej w te światy wchodzi, tym bardziej oddalam się od świata prawdziwego”. Znajdujemy tu przekonującą i zarazem przejmującą obraz spustoszeń, jakich dokonują do nane krzywdy w psychice pokrzywdzonego. Z takim ujęciem nierzadko spotykamy się w naszej literaturze obrachunkowej.

Ostatecznie, przed całkowitą zatamaniem się ratuje bohatera rekonstrukcja sprawy, przeprowadzona przy czynnym i żywym współudziale ludzi z plutonu.

Ciekawe, że w tej swojej książce, odznaczającej się doskonałą znajomością realiów partyzanckiego życia i przenikliwością w obnażaniu mechanizmów intryg, zatrzymujących stosunki między ludźmi, autor nie dba zupełnie o prawdopodobieństwo sytuacyjne. Spłątując wątki fabularne bardziej ma na względzie prawdę literacką niż życiową wiarygodność, co jest widoczne zwłaszcza od momentu wprowadzenia do akcji Ilony i ujawnienia za jej pośrednictwem całej owej „sztafety” starszych panów, wiele pochutliwych „opiekunów” dziewczyny. Zagęszczając rzeczywistość do niewie-

lu miejsc i osób, uwikłanych wzajemnie w przedziwne związki, autor poczyna sobie raczej jak dramaturg niż jak prozak holdujący „małemu realizmowi”. Wychodzi to tylko na dobre ty piszący spraw, zwiększa treść iwa „pojemność” tej przecież niezbyt obszernej powieści.

Niezwykle ważną funkcję spełnia też dialog, mocno skondensowany, dobrze służący zarówno charakterystyce postaci, jak i ciągłemu posuwaniu akcji na przód. Znajdujemy w nim mnóstwo celnych wypowiedzi, świadczących o swoistej metaforze autora, która przez swoją obrazowość i dosadność przypomina klasyków rosyjskiej literatury.

Główną postacią książki — owe go pisarza i zarazem narratora — można by określić jako bohatera pozytywnego, nie na wzór, oczywiście, czytanek szkolnych. To człowiek o bogatym życiu, prowadzonym z fantazją i rozmachem, nie stroniący od prostych a mocnych uciech. Po stać bardzo „polska” przez swoją patriotyczną gotowość do nadstawiania głowy, ale nie samacka, skłonna do głębszej refleksji polityczno-moralnej. Niezwykle przy tym ujmujący, z ironicznym-melancholijnym dystansem przedstawiony jest stosu-

nek tego mężczyzny w sile wieku do procesu fizycznego starzenia się i tłumione pragnienie ponownego przeżycia młodości przy boku pięknej dziewczyny.

Niebagatelne znaczenie mają też te partie powieści, które — wprost lub pośrednio — mówią o związkach literatury z życiem: jak z realiów życia komponuje się powieść, do jak chybionych rezultatów prowadzi uprawiana na co dzień „literackość” (postać szefa — wydawcy), jakim wreszcie deformacjom psychicznym, związanym z zawodem, podlega pisarz, który tak świetnie nie potrafi rozplątać ludzkie powikłania wewnętrzne — z wyjątkiem swoich, czego przykładem jest bohater powieści.

Otrzymałmy więc książkę tylko z pozoru zajmującą się sprawami historycznej przeszłości, a w istocie przedstawiającą stale jeszcze żywe skutki wojny dla dzisiejszego średniego pokolenia i bolesne nieraz następstwa trudnego okresu powojennego.

*) Wiesław Jażdżyński „Sprawa”. Wyd. „Czytelnik”, Warszawa 1969, str. 261.

Listy DO REDAKCJI

Do Redakcji „Odgłosów” w mieście

W związku z artykułem pt. „Łódź moje miasto” Romana Kaczmarka, zamieszczonym w 33 nrze „Odgłosów” z dnia 17. VIII. 1969 r. zgłaszam pro-

pożycie wystawienia skromnego obelisku w Łodzi dla króla Władysława Łokietka i Władysława Jagiełły. Są oni związani z powstaniem Łodzi, a Łódź, moim zdaniem ma za mało pamiątek historycznych.

Łódź, dnia 4 listopada 1969 r.

Z. KOBUS

P.S. Bylem ostatnio w kamieniołomach koło Szklarskiej Poręby. Widziałem tam masę pięknych kamieni. Wystarczy przywieźć taki głaz, wyrzeć na nim nazwiska i już w jakiś sposób skwitujemy zasługi królów, którzy przyczynili się do powstania naszego miasta.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W ostatnim numerze „Odgłosów” ukazał się artykuł Konrada Frejdlicha pt. „Czy koniec świata?” Nie wiem, o jaki „koniec świata” autorowi chodzi, wiem natomiast na pewno, że kula wystrzelona przez niego już nie z dużej armaty, ale wprost z haubicy, nie napotkała plotu. Przykre to, lecz prawdziwe. Atakowany przez Frejdlicha problem doczeka się zapewne odpowiedzi i wyjaśnień ze strony bardziej kompetentnych czynników. Ja natomiast chcę zwrócić uwagę Pana Redaktora na fakt, że Frejdlich, powołując się (bezosołowo) na mój nigdy przez niego

nie czytany artykuł, (potwierdził to w rozmowie ze mną), przypisał mu takie stwierdzenia, których tam w ogóle nie ma. W owym artykule nie zajmowałem się bowiem ani sytuacją lokalową bibliotek Widzewa, ani też nie udowaśniałem, że w tej dzielnicy wszystkie inne wskaźniki (czytelnictwo, wypożyczenia itp.), odpowiadają ustalonym normom. Artykuł mój dotyczył jedynie perspektyw budownictwa bibliotecznego w Łodzi do 1975 r. w świetle uchwały Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi i został wydrukowa-

ny w nr 11/68 „Bibliotekarza”. Idąc za radą autora, który mnie zachęca do obejrzenia widzewskich bibliotek, przyrzekam, iż w miesiącu listopadzie uczynię to powtórnie, prosząc go w zamian o przeczytanie mojego artykułu, gdyż może wte dy wątpliwe rewelacje nie miałyby dostępu na łamy tak szacownego pisma.

Byłbym wdzięczny gdyby Pan Redaktor zechciał zamieścić moją odpowiedź w kolejnym numerze „Odgłosów”.

Łączę wyrazy poważania dr. TADEUSZ TELMA

Wbrew twierdzeniu mego sympatycznego oponenta strzał był jednak dość celny, skoro spowodował reakcję typu „uderz w stół, nożyce się odezwą”. Chciałem zaoszczędzić doktorowi Telmie frasunku skrywając jego nazwisko, ale gdy już sam się ujawnił, nie miałem stół na przeszkoździe, aby pójść jeszcze dalej. Dlatego też ujawniam tu tabelkę opublikowaną w „Bibliotekarzu” (Nr 11/1968), aby Czytelnicy sami osądzili jak dr. Telma ujął biblioteczne potrzeby Widzewa:

Nazwa dzielnicy	Potrzeby w zakresie wymiany nieodpowiednich lokal	Potrzeby w zakresie powiększenia dotychczasowych pow. bibliotek	Razem
Bałuty	5	1	6
Polesie	2	—	2
Górna	2	1	3
Sródmieście	3	1	4
Widzew	—	—	—
Razem	12	3	15

Z poważaniem KONRAD FREJDLICH

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ



Władysław Rymkiewicz, powieściopisarz, nowelista i dramaturg, ma za sobą czterdziestoletnią drogę twórczą wyznaczoną realizacjami tak różnymi jak debiutanci tom opowiadań „Pan swego życia” (1929), powieść dokumentalną „Ziemia wyzwolona” (1951) aż po ostatni, najbardziej w jego dorobku znamienny utwór „Czas pojedna, trawa porośnie” (1969) świadczący o tym, że Jubilat nie zaniechał ambitnych poszukiwań warsztatowych i tematycznych. Młody adept prawa, który przed laty wstępował na literackie ścieżki zachęcony sukcesem w konkursie „Wiadomości Literackich”, gdzie otrzymał nagrodę za opowiadanie „Wiesław i Gładys”, był oczywiście kimś zupełnie innym od Rymkiewicza dziesięcioletniego, choć publikowane u „Goebethnera i Wolfa”, w „Raju” i u Mortkowicza książki znamionują ogromne zainteresowanie kwestiami społecznymi, co pozwala wiązać pisarza z najbardziej postępowym nurtem naszej literatury narodowej. Debiutant, traktujący swoją pracę literacką jako margines istotnych interesów życiowych, gdyż musiał dzielić czas pomiędzy kancelarię adwokacką i sądy, okazał się już wtedy baczny obserwatorem życia, dostrze-

gał jego rażące kontrasty i wyrażał swój gorący sprzeciw. Jego kolejne książki, takie jak „Prawo do miłości” (1931), gdzie poruszył drastycznie problematykę rozwodów, czy też „Eksmisja” (1932), gdzie protestował przeciwko wilczyemu instynktowi kamieniczników eksploatujących w niehumanitarny sposób lokatorów, były jeszcze w realizacji debiutanckimi, ale stanowiły zapowiedź pisarstwa ważkiego, świadomego swej roli społecznej, włączającego się czynnie do walki o przeobrażenie świata. Rzecz jasna ich niedoskonałości warsztatowe osłabiały nośność tego protestu. Z drugiej jednak strony kolejne publikacje Rymkiewicza w okresie międzywojennym, choć naznaczone niedopracowaniem i śmiechem (co łatwo zrozumieć znając czasochłonność zajęć adwokackich), były mimo wszystko czymś więcej, niż tylko uczuciową wizytówką wrażliwego człowieka, który spośród urody życia dostrzega także jego nieprawość. Są one bowiem rzetelnym, choć wycinkowym dokumentem epoki i mimo swoich braków artystycznych przesycone są istotną wiedzą o zagadnieniach społecznych tego okresu.

Nie powinno nas to specjalnie dziwić. Od pierwszych swoich

słów ogłoszonych drukiem jest Władysław Rymkiewicz debiutantem w realizacji, ale nie w pisarskiej postawie, nie w podejściu do tematu. Nie ma bowiem u niego tego, co jest klasycznym niemal wyróżnikiem debiutanckości — nie ma u niego prawie wcale akcentów autobiograficznych, czy choćby nawet kryptoautobiograficznych. Rymkiewicz o sędzą nie siebie, tylko świat, który go otacza, wierząc że uda się go zmienić. Ma wobec zastanej rzeczywistości, podobnie jak tytuł pisarzy przed nim, jak choćby Żeromski, zamiary raczej reformatorskie niż rewolucyjne.

Nowa rzeczywistość społeczna w Polsce, do której otworzył drogę Manifest PKWN i polityczne zwycięstwo komunistów, nie stała nowiłą dla Rymkiewicza dramatu wyboru, nie oznaczała dla pisarza żadnego wewnętrznego rozdarcia. Przeciwnie dokonująca się rewolucja społeczna likwidowała najciemniejsze strony dawnego świata, o którego zmianę walczył swoimi książkami. Czego nie mogły zmienić najszlachetniejsze na wet słowa pisarzy lewicy, dokonała właśnie rewolucja. Dla Rymkiewicza akceptującego zachodzące przemiany bez zastrzeżeń, nowa rzeczywistość stworzyła problem zaledwie techniczny, profesjonalny. Mógł jej służyć albo jako prawnik, albo jako pisarz i na szczęście wybrał to drugie. W wywiadzie z okazji jubileuszu pracy twórczej („Odgłosy” nr 10 z 9. III 1969 r.) powie: „Dopiero po wojnie całkowicie poświęciłem się pracy literackiej (...) Gdzieś w 1946 r. Jan Brzechwa zwrócił się do mnie z propozycją, że przecież nie warto, żebyśmy tracili czas na wykonywanie zawodu, który nie daje nam rzetelnej satysfakcji, tym bardziej, że w nowych warunkach w Polsce Ludo wej praca literacka zapewni nam taki poziom życiowy, jakiego byśmy nie mogli osiągnąć w przeszłości. I właśnie w 1946 r. razem zrezygnowaliśmy raz na zawsze z zajęć w zawodzie prawniczym”.

Profesjonalizacja wiąże się zawsze w literaturze z pewnym, dość istotnym ryzykiem. Profesjonalizacja przedwczesna odrywa pisarza od niewyczerpanych źródeł inspiracji twórczej, jakie daje uczestnictwo w zwykłym, codziennym życiu. Rymkiewiczowi to niebezpieczeństwo nie groziło, gdyż obca mu była zawsze postawa w klerka. Dlatego szczerze potraktował uchwałę sekcji ZLP na temat zadań literatury i pojechał na Żuławy, aby zbierać materiały do powieści o wydzieraniu wodzie żyznych terenów w delcie Wisły. Temat miał dwa aspekty: rodzenie się nowej, rewolucyjnej świadomości wśród osadników zatrudnionych przy odwadnianiu polderów i antyniemieckie ostrze, jak wszystkie książki poruszające wówczas problematykę Ziemi Odzyskanych. Taka jest geneza powieści dokumentalnej „Ziemia wyzwolona”, której pierwsze zdanie określa wyrażenie pisarski zamysł: „Żuławy — to ziemia podwojnie dla Polski wyzwolona: od zalewu hitlerizmu, i od żywiołu wód”.

Powieść „Ziemia wyzwolona” napisana została niemal w konwencji reportażu. Ten sposób narracji pozwolił ukazać znaczenie Żuław dla Polski, ale okazał się niedostateczny dla udokumentowania przemian świadomości. Główny bohater, Janik, wystawiony na pokusy kułactwa, wprawdzie im się opiera, dlaczego jednak, tego już nie wiemy. Wersja urzędowa zastąpiła analizę alternatywną, rozdarł, napięć wahał się chłop. Jest to nie tyle studium chwicznej świadomości, ile świadomości objęta dekretem. I znając twórczość Rymkiewicza trudno było zrozumieć, dlaczego tego rodzaju piód wyszedł spod jego pióra. Zagadka wyjaśniła się dopiero po latach. W swoich wspomnieniach z cyklu „Pół wieku” Jerzy Putrament opisał oburząca praktykę jednego z wydawnictw centralnych, które w latach pięćdziesiątych wykreśliło polskiemu autorowi połowę książki, dopisując brakującą część wspólnymi siłami całej redakcji. Z utworem, podpisanym jego nazwiskiem, autor zapoznał się dopiero po opublikowaniu książki. Tym autorem był Władysław Rymkiewicz, a książka nosiła tytuł „Ziemia wyzwolona”.

To porażające doświadczenie z okresu dekretowania literatury nie zalało mimo wszystko Rymkiewicza, którego samoświadomość pisarska była już bardzo wysoka. Wiedział on chyba już wtedy, co z takim uporem lansował niedługo Karol Irzykowski, że „literatura (...) wzorować się może na rewolucji o tyle, o ile sobie przedany przykład przypomni swoje własne zadania”. Stwierdzenia Irzykowskiego z trudem sobie torowały co prawda drogę, skoro wybór jego prac krytycznych został wznowiony dopiero w 1957 roku, ale pisarze zdawali sobie doskonale sprawę, że „mogą być rewolucyjne dzieła, w których nie ma ani słowa o rewolucji. Na odwrót, mogą być dzieła pełne entuzjastycznych obrazów politycznej rewolucji, a jednak w podstawach swych zupełnie konserwatywne”.

Doświadczenia z powieścią „Ziemia wyzwolona” zwróciły uwagę Rymkiewicza na tematykę historyczną, skoro problematyka współczesna natrafiała na wydawnicze przeszkody i realizację pisarskie docierały do rąk czytelnika w kształcie okaleczonym, cherałwe i nijakie. O roli, jaką kostium historyczny odgrywał w naszej literaturze lat pięćdziesiątych, można by napisać całą rozprawę, ale w omawianym przez nas przypadku nie jest to potrzebne. Nie była to przecież ze strony Rymkiewicza ucieczka w sferę aluzji i politycznych skojarzeń, bo problematyka historyczna nie była dla tego pisarza substytucją, nie odgrywała roli zastępczej. Pisał o tym, co było, nie zaś o tym, co jest. Ale poprzez odtwarzanie kart z dziejów Polski pisarz kreślił perspektywę historyczną naszego kraju i tym samym akcentował swój stosunek do współczesności, angażował się w stopniu może nawet znaczącym, niż to na pierwszy rzut oka się wy-

daje. Ciągłość losu historycznego narodu jest przecież podstawową kategorią świadomości społecznej, a z nią w latach dekretowania literatury i historii rozmaicie bywało.

Już pierwsza książka z zamierzonej serii przyniosła Rymkiewiczowi istotny sukces czytelnicy. Powieść „Rycerze i ciury”, której tytuł określa dość wyraźnie zamysł autorski, osiągnęła w rekordowo krótkim czasie kilka kolejnych wydań. Wielokrotnie wznawiane były także inne książki Władysława Rymkiewicza: „Noc saska”, „Dworzanin pana Morsztyna”, „Carewicz na ulicach Krakowa” czy też „Romans królewski” (pierwodruk w „Odgłosach”).

Co było źródłem tego powodzenia? Samym „głodem” na romans historyczny zjawiska tego przecież wytłumaczyć nie można. W okresie, gdy Rymkiewicz wydawał swe książki, Kraszewski uważany był przez wydawców za jednego z „najbezpieczniejszych” autorów i nikt go, na szczęście, nie „poprawiał”. Ale o ile powieści Kraszewskiego trafiały do umysłów starszych czytelników, boha terowie Rymkiewicza podbijały serca młodzieży. Działo się tak dlatego, że młody czytelnik znajdował w Rymkiewicza ten typ bohatera, którego nie mógł mu zapewnić ani, obrzydzone przez nie odpowiedzialny dobór szkolnych lektur, Kraszewski, ani też, co gorsza, książki o tematyce współczesnej. Bohater to na ogół plebejski, kmięć, albo ciura, z którego Rymkiewicz uczynił nawet swego rodzaju symbol przeciwstawiającego się rozpowszechnionemu w dawnych romansach historycznych kultowi rycerza i sarmaty, ale oprócz instynktu klasowego ma on w książkach Rymkiewicza zwykłe, ludzkie, instynkty, jest pełnokrwistym człowiekiem. Z faktu, że kmięć był w przeszłości przedmiotem ucisku nie wynika przecież, że w literaturze powinien on być także zaledwie przedmiotem wyposażonym w pewne, autematyczne odruchy, zginającym plecy od razów ekonomii i ocierającym sobie ukradkiem pot z czoła w czasie pracy od rana do nocy. Rymkiewicz uczynił bohatera plebejskiego podmiotem powieści, nie tylko pozwolił mu działać i myśleć, ale przedstawił go w działaniu. Co w romansach historycznych dawnego typu było zaledwie dyskretnym tłem, awansowało u Rymkiewicza na plan pierwszy.

Socjologia sukcesu to zjawisko godne nielubianej analizy. Nie ma tutaj, niestety, dość miejsca, aby rozpisywać się o jej oszalałościach i paradoksach. Dość wszakże zauważyć, że im większy sukces czytelnicy odnosi jakaś książka, tym szerszą zainicjowaną przez nią krytyka. Pisarzowi musza wystarczyć zazwyczaj zdawkowe recenzje. Cierpi na tym nie tylko zainteresowany autor, cierpi na tym, niestety, także obraz współczesnej literatury polskiej pozbawiony często wybitnych postaci. Trzeba stwierdzić, że nasza „dalekowzroczna”, kryty-

BOGDA MADEJ

Opowieść
o dyrektorze
z ogłoszenia

W lutym 1917 roku w gazecie „Godyny Polski” ukazało się ogłoszenie: „Biblioteka Publiczna w Łodzi poszukuje kandydata na bibliotekarza. Pierwszeństwo mieć będą kandydaci, którzy pracowali w tym kierunku. Oferty z podaniem kwalifikacji i warunków należy składać tylko piśmiecznie w lokalu Biblioteki Publicznej, ul. Piotrkowska 150”.

Wpłynęło wiele podań. Niedługo potem pierwszy pracownik biblioteki — woźny Ludwik Warycha doręczył decyzję Towarzystwa Biblioteki Publicznej o powołaniu na stanowisko bibliotekarza 23-letniemu, samoradnemu organizatorowi biblioteki kursów pedagogicznych — Janowi Augustyniakowi. Od tego momentu nazwisko Augustyniaka na wiele lat nieodłącznie zrosło się z losami Łódzkiej Biblioteki Publicznej.

— Przyjmował mnie do pracy inż. Oskar Gross — opowiada prof. Jan



Jan Augustyniak
rys. Ibis-Jankowski

Augustyniak — I od razu wysłał na praktykę do Warszawy, do dyrektora tamtejszej Biblioteki Publicznej — Faustyna Czerwijowskiego. Nie było wówczas żadnych kursów bibliotecznych, trzeba było uczyć się samemu. Dyrektor Czerwijowski dał mi przepustkę na wszystkie pietra i kazał zwracać się do siebie ze wszystkimi

kłopotami i wątpliwościami. Kupilem 12 zeszytów. Każdy przeznaczyłem do czego innego i zacząłem się uczyć. Na koniec napisałem pracę egzaminacyjną o tym, jak zorganizować bibliotekę publiczną w Łodzi i po zdaniu egzaminu przed dyrektorem Czerwijowskim rozpocząłem pracę.

W skromnym, udestępnionym przez kupca Wilhelma Hordliczkę, 4-pokojowym lokalu przy ul. Piotrkowskiej 150, młody bibliotekarz rozpoczął od spraw najważniejszych — wprowadził planową organizację wewnętrzną ksiąźnicy, uporządkował i opracował zgromadzone dzieła. Toteż w krótkim czasie podjęto decyzję o udostępnieniu ksiąźnicy czytelnikom.

Uroczyste otwarcie pierwszej Biblioteki Publicznej w Łodzi odbyło się 11 października 1917 roku. Data w dziejach miasta dość istotna, bowiem była to jedyna placówka o charakterze naukowym.

Początek był skromny — podstawowy opracowany księgozbiór obejmował 500 tomów i 60 tytułów bieżących periodyków. Wkrótce okazało się, że biblioteka w mieście była bardzo potrzebna. Czytelnia dysponowała zaledwie 25 miejscami, a ilość czytelników dochodziła do 54 osób dziennie. W dodatku otwarta dopiero od godz. 14 nie mogła obsłużyć wszystkich, którzy chcieli czytać.

— Któregoś dnia znalazłem na biurku wielki, 4-stronicowy arkusz papieru. Cały gęsto pokryty samymi podpisami. Tylko u góry był króciutki

tekst: — „Do dyrekcji Biblioteki — Bodaj Was cholera”. Nie wypadło się obrząbić na ten dowód ogromnego zapotrzebowania na ksiąźkę. A sam nie mogłem wszystkiemu poddać.

Wciąż wzrastająca frekwencja czytelników zmusiła Towarzystwo Biblioteki Publicznej i jej kierownika do podjęcia decyzji o zmianie lokalu. W sierpniu 1918 roku bibliotekę przeniesiono na ul. Andrzeją Struga 14. Na długo — aż na 32 lata. Społeczny patron, jaki nad biblioteką sprawowało TBP nie sprzyjał jej szybkiemu rozwojowi. Niewielkie fundusze uzyskiwane w tych trudnych latach od Magistratu i z filantropijnych datków nie starczyły na zaspokojenie prawdziwego głodu ksiąźki.

— Kiedy dowiedziałem się, że po wojnie do Polski wraca biblioteka Załuskich, cały czas zastanawiałem się, jak zwekslować pociąg z ksiąźkami do Łodzi. Oczywiście było to nierealne marzenie, ale polecałem do ministerstwa. Kiedy zaproponowałem ministrowi, żeby bibliotekę Załuskich dał Łodzi, najpierw zaniemógł, a potem krzyknął: Pan jest bezczelny, mój panie! Ale nie zląkłem się ministerstwa gniewu i spokojnie zacząłem przekładać swoje racje. Wysłuchał mnie uważnie, wytłumaczył, że bibliotekę Załuskich dać do Łodzi nie może, ale w zamian przysłał wagon ksiąźek z księgozbiorem Kasymianowskiego i słowa dotrzymał.

Działalność Jana Augustyniaka nie ograniczała się do samej tylko Biblio-

teki Publicznej. Będąc członkiem korespondentem warszawskiego Związku Bibliotekarzy Polskich złożył w Łodzi pierwsze w kraju prowincjonalne koło ZBP. Zaczęło ono działać od stycznia 1919 roku. Augustyniak, który stał się pierwszym sekretarzem Koła i pracował także w Komisji Kulturalno-Oświatowej Magistratu, ułatwił współpracę tych instytucji, co miało obrzynie znaczenie dla przyszłego planu sieci bibliotek łódzkich. Sam zresztą był głównym autorem owego planu najpełniej przedstawionego na III konferencji oświatowej w Krakowie w 1921 roku.

— „Plan organizacji wzorowej sieci bibliotek opartych na podstawie umiastowienia — czytamy w sprawozdaniu „Stan Czytelnictwa w Łodzi” z roku 1921 — przedstawia się następująco: Biblioteka Publiczna będzie jako centralna biblioteka naukowa z czytelnią na miejscu, 5 bibliotek Towarzystwa Krzewienia Oświaty oraz biblioteki innych Towarzystw tworzyć będą niższą kondygnację wypożyczalni o charakterze beletrystycznym — naukowym; wreszcie plan przewiduje utworzenie kilkunastu dzielnicowych wypożyczalni dla młodzieży, zarówno szkolnej jak i nieszkolnej. Tego rodzaju bowiem wypożyczalni miasto nasze jeszcze nie posiada”.

Nie posiadały wypożyczalni dla młodzieży także i inne miasta i łódzkie były pierwszymi w Polsce, i prawdopodobnie w Europie. Przygotowany

ka nie zauważyła do tej pory Władysława Rymkiewicza, co raz jeszcze potwierdza wspomniane przeze mnie paradoksy uznania.

Prawie nie dostrzeżono, na przykład, powieści stanowiącej wyrażną cezurę w dotychczasowych dokonaniach autora „Ryeczny i ciurów”. Mam na myśli książkę „Ucieczka z ziemi obiecanej” (1961). Wydarzenia rozgrywane w nocy z 18 na 19 stycznia 1945 roku, dosłownie na godzinę przed wyzwoleniem Łodzi spod okupacji, są tutaj nie tylko osnową osobistego dramatu Pawła Gaertlera, syna łódzkiego fabrykanta, ale zostały wykorzystane przez pisarza do sięgnięcia w głąb historii miasta targanego przez całe dziesięciolecie sprzecznymi klasowymi i narodowościowymi. Ta zapiekła przeszłość odezwała się z całą mocą w momencie przełomowym, jakim było wyzwolenie, kiedy najostrzejsze nawet sprawy nabrały charakteru natychmiastowej wymagalności, kiedy polaryzowały się postawy i stanowiska, kiedy gwałtownie kształtowało się współczesne oblicze robotniczego miasta. „Ucieczka z ziemi obiecanej” to już nie tylko rzetelny, sprawnie napisany romans historyczny. To powieść współczesna o historii, do formuły której doszedł Rymkiewicz po długim i owocnym terminowaniu w beletryście historycznej.

Wyrazem tego przełomu najbardziej ewidentnym i najwyższym artystycznie próbnym jest cykl powieściowy składający się, jak do tej pory, z trzech książek: „Trzy stu pod Dobrą” (1963), „Widok z Księżego Młyna” (1966) oraz „Czas pojedna, trawa porośnie”, która ukazała się w roku bieżącym. Wszystkie trzy, podobnie jak wcześniejsza od nich „Ucieczka z ziemi obiecanej” podejmują temat „tematyki łódzkiej” w oparciu o zdarzenia tak odległe od siebie w czasie jak powstanie styczniowe (1863), bunt łódzki (1892) i powstanie czerwcowe roku 1905. Doniosłość tego cyklu po wieściowego polega nie tylko na nowinkach artystycznych w tkance stylistycznej, w zdumiewająco precyzyjnej kompozycji, w zaopiniowaniu opisu w wyrażeniu, chociaż nie da się ich oddzielić od tego, co stanowi istotę tych książek: że stanowią próbę połączenia ważnych nitów tradycji określających miejsce naszej świadomości narodowej i społecznej dzisiaj, teraz, współcześnie.

Z okazji ukazania się „Trzystu pod Dobrą” recenzent miesięcznika „Twórczość” Jan Koprowski (Nr 11, listopad 1963), omawiając książkę Rymkiewicza pisał o szan się powieści historycznej w ogóle. Ostatnie poszukiwania pisarza dowodzą jednak, że właściwiej jest w odniesieniu do tego autora mówić o szansie naszej literatury współczesnej. A przecież Rymkiewicz nie powiedział jeszcze swego ostatniego słowa. Myślę też, że kolejną swoją realizacją udowodni tę szansę jeszcze wyraźniej.

KONRAD FREJDLIH

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

SYMBOLE walki

Czym była i czym jest sztuka, której cel tkwi jednoznacznie w sferze społecznego zaangażowania?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa; musiałaby bowiem zostać poprzedzona definicją samego pojęcia zaangażowania w jego wielorakich sensach i kontekstach społecznych. A to z kolei — oczywiście bez uproszczeń i schematów — jest zgoła niemożliwe. Bo jakże trudno powiedzieć jakimikolwiek artystycznie, człowiekowi podejmującemu twórczą i w jego wnętrzu przekonaniu oryginalną działalność, że owoce tej pracy nie mają cech zaangażowania, wobec czego on sam nie jest twórcą zaangażowanym. Dlatego dobrze się stało, że organizatorzy kolejnej wystawy w Muzeum Sztuki w Łodzi, sprecyzowali temat ekspozycji w sposób, który trafnie odbija istotę i sens sztuki bogatej w treści wywoleńczej i rewolucyjnej walki narodowej, a jednocześnie nie powoduje wieloznaczności i niejasnych skojarzeń*).

Tak więc druga już wystawa związana z jubileuszem XXV-lecia Polski Ludowej zorganizowana przez łódzkie muzeum, prezentuje przegląd polskiego malarstwa osnutego tematyką wokół kart historii zapisanych walką o wyzwolenie narodowe i społeczne. Przegląd to bardzo fragmentaryczny i — ze względu na szczupłość powierzchni wystawowej — w pewnym sensie, przypadkowy. Pomyślana jako tematyczna projekcja pewnej idei, wystawa musiała zostać siłą rzeczy zakomponowana luźno z obrazów różnorodnych tak pod względem siły oddziaływania i wewnętrznej ekspresji, jak i pod względem samej treści i artystycznej formy. Tak więc choć ekspozycja obejmuje tematycznie znaczny okres historyczny, bo od upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej po rewolucyjne przemiany społeczne w Polsce Ludowej, to jednak nie jest ona ścisłą ilustracją zachodzących zmian ilościowych i jakościowych tego okresu. Jest natomiast cenną propozycją dla widza (dodajmy: dla każdego widza) uświadomienia sobie roli, jaką sztuka, towarzysząc faktom i zdarze-

niom historycznym, może spełniać w historii narodowej. Bo wystawa stanowi jakby przekątną poprzez pewien wycinek rodzimej historii sztuki poczynając od obrazów o treści patriotycznej ilustrujących takie sceny naszych dziejów jak powstanie kościuszkowskie (Franciszek Smuglewicz), powstanie listopadowe (Marcin Zaleski), powstanie styczniowe (Maksymilian Gierymski), martyrologia narodowa ubiegłowieczna (Jacek Malczewski) i najnowszej daty (Andrzej Wróblewski, Xawery Dunikowski, B. W. Linke) — aż po obrazy, których kanwą jest wyzwolenie społeczne i walka klasowa. Droga artystyczna, która łączy te dwie tematyki, raz jest krótka i bezpośrednia, a kiedy indziej odległa i niejasna, ukazując całą trudną i nie zawsze jednoznacznie ewoluującą w rodzeniu się świadomości społecznej artystów. (Mniej, oczywiście, dotyczy to autorów nam współczesnych swobodnie podejmujących każdą tematykę).

Myślę, że przykładem ilustrującym tę ewolucję będzie zestawienie dwu obrazów powstałych w latach 1906—1907: „Z powstania kościuszkowskiego” Włodzimierza Tetmajera i „Pogrzeb strajkującego” Stanisława Fabijańskiego. Podczas kiedy Tetmajer szuka przypomnienia kościuszkowskiego zrywu w scenie szarzy kosynierów — tyleż barwnej co stylizowanej, Fabijański maluje w tonacji ciemnej scenę sobie współczesną: pogrzeb zabitego podczas strajku w Łodzi robotnika. Między tymi dwoma obrazami przebiega granica — czyżby przykładowa oczywiście — która oddziela sztukę mieszczańską od sztuki par excellence rewolucyjnej. Mimo bowiem zaborów i prześladowań dażeń niepodległościowych, sztuka o tematyce narodowej po roku 1905 była sztuką akceptowaną powszechnie przez mieszczaństwo i tolerowaną przez władzę zaborczą. Autor podejmujący tę tematykę mógł więc liczyć na duży i życzliwy krąg odbiorców. Natomiast podejmowanie tematyki rewolucyjnej i ukazywanie ostrych rysujących się zębów walki klasowej stanowiło, zwłaszcza po krwawo stłumionej rewolucji 1905 roku, przedsięwzięcie tyleż piękne

co śmiałe. Artysta, który podjął tę tematykę nie mógł przecież liczyć na mieszczańskiego odbiorcę, wrogiego lub przynajmniej obojętnego rewolucyjnym przemianom, a jednocześnie dysponującego monopolistycznie galeriami wystawowymi. Mógł się natomiast spodziewać szycan ze strony władz zaborczych i rodzimej burżuazji, mógł liczyć na milczenie oficjalnej krytyki i niepopularność jakże daleką od koniunkturalnych popisów malarzy mieszczańskich. Niepopularność równą biedzie.

Dlatego też — pomijając nawet czysto estetyczne rozważania — należy pochylić dziś głowę przed sztuką Fabijańskiego i Lentza — autora namalowanego w 1910 roku „Strajku”, obrazu znanego dziś każdemu uczniowi szkoły podstawowej z reprodukcji w podręcznikach szkolnych, za bezinteresowną i piękną manifestacją świadomych walki klasowej artystów.

Ta prawda dziś dla nas oczywista, powoduje, że innym nieco okiem patrzymy na twórczość malarzy nam współczesnych, których sztuka choć posiadająca niewątpliwą walor zaangażowania w słuszny temat, nie ma już jednak tej specjalnej historycznej wymowy. Tam bowiem akt twórczy był jednocześnie aktem odwagi i symbolem walki klasowej;

tu — jest po prostu sprawą wyboru tematu.

Stąd też nie można stosować jednakowych kryteriów przy odbiorze obrazów o tematyce społecznej powstałych w okresie ucisku klasowego, do obrazów o podobnej tematyce powstałych u nas współcześnie. Tkwiący w obrazach Lentza, Fabijańskiego czy nieco wcześniejszego Alchimowicza silny ładunek emocjonalny, ma wartość bezpośredniego dokumentu epoki, natomiast w twórczości malarzy nam współczesnych temat ten przy krytyce już historycznym pokrokiem staje się mimo wszystko — przeżyciem wtórnym.

Jest to, rzecz jasna, tylko jedna z refleksji, jakich może dostarczyć wystawa. Łódzkiemu widzowi przyniosła ona na pewno wiele wrażeń estetyczno-poznawczych. Po raz pierwszy bowiem możemy w Łodzi obejrzeć takie znane obrazy jak „Sprawa u wójta” Chelmońskiego, „Niedziela w kopalni” Malczewskiego, „Proletariatczy” Kowarskiego czy „Rozstrzelanie” Wróblewskiego.

Myślę jednak, że główny sens wystawy tkwi w ukazaniu sztuki jako równoprawnego symbolu walki.

* „Z tradycji wolnościowych i rewolucyjnych w malarstwie polskim” — Muzeum Sztuki w Łodzi, październik—listopad 1963.

POLONICA

CHOPIN
WIECZNIE POPULARNY

Na rynku niemieckim ogromnym powodzeniem cieszy się płyta gramofonowa z nagraniami utworów Fryderyka Chopina. Ta trzecia już z kolei płyta chopinowska firmy RCA Victor zawiera koncert fortepianowy nr 2 f-moll opus 21 oraz „Wielką fantazję na pianie polskie” opus 13. Na fortepianie gra A. Rubinstein, zaś orkiestrą Filadelfijską dyryguje Eugene Ormandy. Stereofoniczne nagranie „Wielkiej fantazji” jest pierwszym tego rodzaju zapisem w świecie. Krytycy podkreślają, że szczególnie wartościowa jest na płycie interpretacja lamento.

Melomanów nie odstrasza wysoka cena płyty, która kosztuje 21 marek zachodniemieckich.

POLSKIE KSIĄŻKI
W NRF

W ukazującym się w NRF 3 numerze tegorocznego kwartalnika „Die Buecherkommentare” (Komentarze o książkach) znajdują się cztery recenzje z książek polskich, przetłumaczonych na język niemiecki i wydanych w Niemczech Zachodnich. Są to: wznowienie tłumaczonej jeszcze przed wojną „Soli ziemi” Józefa Wittlina, „Rozmowy z Gombrowiczem” Dominika de Roux, „Mężczyzna jak dziecko” Kornela Filipowicza oraz „Polnisch lesen” Willy Gromka. Autorzy recenzji na ogół pozytywnie oceniają wszystkie te publikacje, zwracając przy tym uwagę na fakt, że literatura polska często jeszcze za mało jest znana w świecie zachodnim. Oczywiście, niestety, gdyż ich zdaniem (co nam w Polsce wydaje się całkiem wiele zrozumiałe), literatura polska prezentuje wartości ciekawe, godne zainteresowania i uwagi.

POLONICA

przez Augustyniaka plan zakładał przejęcie bibliotek przez miasto.

— To była najważniejsza dla mnie sprawa. Od tego zależały dalsze losy Biblioteki Publicznej. Potrzeba było więcej pracowników, więcej książek, a pieniędzy mieliśmy coraz mniej. Długo i bezskutecznie namawiałem Magistrat do przejęcia biblioteki. Kolejny wniosek został zgłoszony na posiedzeniu Rady Miejskiej 23 września 1921 roku. Kilka dni wcześniej napisałem artykuł „O byt Biblioteki Publicznej w Łodzi”, gdzie omówiłem wszystkie dotychczasowe osiągnięcia w organizacji bibliotecznej oraz stronę upowszechnienia książek — zestawiając te korzyści z trudnymi warunkami bytu tejsze biblioteki. W umówionym dniu artykuł ukazał się w „Głosie Polskim”. Wykupilem tyle egzemplarzy pisma, ilu było radnych, zdaje się, że 75 sztuk i rozesłałem wszystkim. Przypuszczałem, że na pewno 90 proc. radnych nawet nie spojrzy na wycinek, może kilku przeczyta, lecz nie przejmie się, a może jeden weźmie sprawę do serca i przemówi za wnioskiem. Stało się. Jak przewidywałem. Radny Leon Holenderski zabrał głos i w imieniu całej Rady poparł wniosek o przejęcie biblioteki.

Z dniem 1 stycznia 1922 roku księżnica łódzka weszła w skład agend Wydziału Oświaty i Kultury Magistratu jako Miejska Biblioteka Publiczna. Od tego momentu nastąpił wyraźny i systematyczny rozwój bi-

blioteki. Uzyskanie stałego budżetu, a więc możliwość planowania wzrostu księgozbioru i powiększenia stanu personalnego nie były jedyną korzyścią. W późniejszych latach księżnica mogła podjąć rolę centralnej biblioteki miejskiej ewidencjonującej księgozbiory różnych komórek organizacyjnych Magistratu i sprawującej opiekę nad niektórymi bibliotekami społecznymi. Zaiskrzyły także warunki dla rozpoczęcia budowy sieci bibliotek miejskich.

W roku 1925 księgozbiór Biblioteki Publicznej obejmował już 14.725 tomów.

— W mojej bibliotece kształcili się wszyscy późniejsi działacze. Mieliśmy bowiem bogato zaopatrzone działy literatury socjalistycznej. Zakup takich książek zależał od składu Rady Miejskiej. Jeśli Magistrat miał odchylenie nieco lewicowe, akceptował proponowane przez nas pozycje. Jeśli skład Rady był prawicowy, wykreslano książki o tematyce socjalistycznej. Przechodziło do nas wielu prostych ludzi, robotników, rzemieślników, którzy nie bardzo wiedzieli od czego zacząć samokształcenie. Niech mi pan coś da z anatomii — powiedział pewien robotnik — człowiek ciągle choruje, na doktora pieniędzy nie ma, a tak, jak będę wiedzieć, gdzie co mam, i co mnie boli, sam się będę kurował.

Ponieważ takich czytelników było więcej, Augustyniak zakłada przy bi-

blioteczni poradnię dla samouków, którą sam prowadził. Ciągłe ulepszanie organizacji pracy w swojej placówce, systematycznie od roku 1922 szkolił w zorganizowanych przez siebie kursach nowe kadry bibliotekarskie. W okresie międzywojennym jest jednym na gruncie łódzkim bibliotekarzem systematycznie piszącym o sprawach czytelnictwa. I oczywiście stale zabiegał o dalszy rozwój biblioteki. W połowie lat trzydziestych trzeba było jednak zlikwidować drugą czytelnię i przeznaczyć ją na magazyn książek. Znowu było za ciasno. Trzeba było pomyśleć o nowym pomieszczeniu, tym razem własnym, odpowiednim gmachu. Władze miejskie i państwowe nie mogły finansować takiej budowli. Marzenia kierownika wydawały się nierealne, z początku nawet jemu samemu. Ale Augustyniak był uparty.

— Przypomniał mi się książka Baudouin, który zbierał jalmużną na sierociniec. A czemu bym ja nie miał tak spróbować? Wszak w Łodzi nie brak bogatych ludzi. I zacząłem składać wizyty fabrykantom i przemysłowcom. Wreszcie udało mi się zainteresować ideą budowy gmachu biblioteki jednego z bardziej społecznie przemyślowców łódzkich — Aleksandra Heimana-Jareckiego, który przedstawił sprawę Zarządowi Związku Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskim. Pomysł chwycił i Związek 16 maja 1935 roku uchwalił na ten cel 500 tys. zł. Reali-

zacją projektu zajął się społeczny Komitet Budowy Biblioteki Publicznej. A łódzki Zarząd Miejski zakupił zaproponowany przeze mnie plac pod budowę gmachu na rogu ulic Gdańskiej i Kopernika.

Ponieważ budownictwo biblioteczne nie miało jeszcze w Polsce tradycji, ogłoszono konkurs na projekt gmachu. Nieustrudzony Augustyniak i tu dołożył się z pracą. Jednym z dwu zwycięzców programu konkursowego był jego artykuł pt. „Nowoczesne budownictwo biblioteczne”, w którym przyszyły użytkownik sprecyzował wymagania skierowane do projektanta. Zwycięzcy projekt inż. arch. Jerzego Wierzbickiego z Warszawy i 14 maja 1938 roku wmurowano kamień węgielny pod gmach, który miał dysponować 150 miejscami w czytelni, magazynami na 300 tys. książek, nowoczesnymi urządzeniami. Plan robót przewidywał zakończenie budowy pod koniec roku 1939. Kiedy wybuchła wojna, budynek biblioteki nie miał jeszcze wykończonego wnętrza.

— Aresztowano mnie wraz z całą rodziną w listopadzie 1939 roku. Jako wróg Rzeszy Niemieckiej zostałem wysiedlony. Wywieziono mnie do Radogoszcza, a stamtąd do Generalnej Guberni. Jechaliśmy na dworzec kaliszki nocą. Trasa była taka znajoma. Najpierw tramwaj przejeżdżał obok starego gmachu przy ul. Andrzeja, potem obok naszego domu, wreszcie miał nowy, nie wykończony budynek, który rysował się w ciemnościach.

Takim go zapamiętałem, i wtedy nie przypuszczałem, że jeszcze tu wrócę.

Wrócił 6 września 1949 roku przewodniczący Zarządu Miejskiego w Łodzi wręczył klucze od Biblioteki Publicznej dyrektorowi Janowi Augustyniakowi. Pierwsi czytelnicy weszli do czytelni 1 marca 1950 roku. Już wówczas księżnica nosiła imię Ludwika Waryńskiego.

46 lat Jan Augustyniak był kierownikiem Biblioteki Publicznej w Łodzi. Przeszło przez jego ręce tysiące książek, które podawał tysiącom czytelników. W ciągu swej długoletniej pracy bibliotekarza napisał i ogłosił drukiem przeszło 80 tytułów prac fachowych. Przez cały czas prowadził Związek Bibliotekarzy Polskich i Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich Okręgu Łódzkiego, wyszkolił przeszło tysiąc bibliotekarzy i szkolił ich po dziś dzień. Choć mógłby poprzestać na ciszy emerytalnego życia. Pod jego kierownictwem łódzka biblioteka uzyskała w roku 1950 tytuł najlepszej w kraju, zaś on sam prócz licznych zaszczytnych odznaczeń, otrzymał tytuł naukowego profesora nadzwyczajnego.

Na ostatnim zjeździe bibliotekarskim w Kielcach, gorącymi, długotrwałymi oklaskami powitano prof. Jana Augustyniaka. Tak witali profesora jego uczniowie, którzy go nie zapomnieli. Nie powinni zapomnieć również czytelnicy.

CZY „JOWIALSKI” JEST SZTUKA ŻYWA?



Stanisław Kwaśniak i Grażyna Marzec w „Panu Jowialskim”

Wiele generacji polskich stykało się z „Panem Jowialskim” już od najwcześniejszych lat. Boy-Zeleński twierdził, że się na nim niemal uczył czytać. W ciągu 137 lat swej kariery scenicznej, ta najwspanialsza chyba komedia Fredry wystawiana była setki razy, oczarowywała, bawiła, budziła kontrowersje.

Kontrowersje bywały burzliwe, przeszły nawet do historii naszej literatury jako „spór o Jowialskiego”. Jeszcze nie tak odległe są lata, gdy Boy z ferworem polemicznym rozbił w proch i pył interpretację tej sztuki dokonaną przez prof. Eugeniusza Kucharskiego, a całkiem już bliskie czasy, gdy z nowym życiem intelektualnym, w gustach i konwencjach artystycznych ostatnie bodaj dziesięciolecie przyniosło tyle przewartościowań, że dla wielu Jowialski stał się z krępkiego i dowcipnego staruszka, sędzi-

wym nudziarzem, jeśli nie muzealnym mamutem. Tak krańcowe stanowisko jest, oczywiście, niestuszne, ale wydaje się faktem niewątpliwym, że nie można dziś wystawić „Jowialskiego” tylko na zasadzie umiłowania tradycji narodowej. Oglądali go nasi pradziadkowie i dziadkowie, oglądaliśmy od najwcześniejszej młodości my, więc niech go oglądają także i nasze dzieci! To żaden argument.

Pietyzm dla spuścizny narodowej nie polega na biernej akceptacji i na powielaniu w nieskończoność starzejących się kształtów artystycznych. Słowem: zgoda na „Jowialskiego”, pod warunkiem, że odpowiemy sobie na pytanie po co go gramy!

Mieliśmy już szereg prób nowoczesnego spojrzenia na Fredrę (m. in. „Damy i huzary” w formie naśladownictwa teatru kukielkowego), ale były to na ogół zabiegi naskórkowe. Największy polski komediopisarz zasługiwałby na coś więcej niż poufale poklepywanie po ramieniu. Trzeba by lepiej się w niego wczytać, sięgnąć do głębszych pokładów myśli, skonfrontować z doświadczeniami naszego współczesnego życia.

Reżyser nowego przedstawienia „Pana Jowialskiego” w Teatrze im. Stefana Jaracza — Aleksander Strokowski jest, jak się zdaje, świadom tej potrzeby, nie potraktował więc inscenizacji jako wyprzedzący starzyzny po znizowanych cenach. W spektaklu czuje się od pierwszego podniesienia kurtyny chęć powiedzenia ustami Fredry czegoś nowego. Wynika to również niedwuznacznie z rozmowy z reżyserem zamieszczonej w programie teatralnym.

W opublikowanej drukiem wypowiedzi Strokowski skłania się przede wszystkim do stanowiska prof. Pigoń, które w największym skrócie sprwadza się do zdania, że „Jowialski” „bronił się przed złą nawalą czasu za swym zasięgiem śmiechu”. Pigoń traktuje jednak rzecz historycznie. Chodzi mu o sytuację po rozbiorach i po klęsce kolejnych powstań polskich. Strokowski idzie dalej, w kierunku treści bardziej uniwersalnych.

Pigoń tłumaczy postawę Jowialskiego „patologią niewoli”, Strokowski mówi o „patologii konformizmu”, a więc o niesprzeciwianiu się złu. Nasze czasy znają aż za wiele przykładów tego, że konformizm całych grup społecznych czy narodów prowadził do najstraszliwszych konsekwencji. Wystarczy wspomnieć Niemcy w dobie hitlerizmu.

Strokowski podchwytuje więc w „Jowialskim” brak możliwości porozumienia się między ludźmi, z których każdy chroni się za własnym „zasięgiem”, byle tylko nie zająć czynnej postawy wobec życia. Znajduje na to pewne pokrycie w tekście. Niektóre partie dialogowe komedii brzmią jakby były rodzem z teatru absurdu („Janusz: Jakiś pan sans-facon śpi sobie pod drzewem. — Szam belanova: Komuś ma spać, jeżeli nie sobie? Voyons!” itp.).

Elementy nowego odczytania sztuki rozlane są w przedstawieniu. Reżyser zmienił początek sztuki. Dialog Ludomira z Wiktoorem poprzedza pojawienie się starego Jowialskiego, który stojąc samotnie na pustej scenie, odczytuje z książeczki

(Knapusza?) bajkę o motylu, co to...

„Dlatego stałość chwał, jedną lubi różę,
Bo sam już latać nie może”.

W tekście fredrowskim bajką tą raczy Jowialski otoczenie w IV akcie i to w kontekście sprwadzającym rzecz do spraw monogamii. Wyeksponowanie niewinnego wierszyka do roli mota przedstawienia sygnalizuje reżyserki zamiar rozprawy z konformizmem.

Brak możliwości porozumienia między ludźmi akcentuje wyraźnie wykonawca roli Ludomira Stanisław Kwaśniak. Nie próbuje on uprawdopodobnić nieprzekonującej u Fredry przemiany duchowej bohatera. Ludomir w ujęciu Kwaśniaka jest do końca nieszczerzy w stosunku do Helenki i do całego domu Jowialskich. Jest cynikiem i konformistą. Nawet błogosławieństwo cudownie odnalezioną matki kwitując błazńskim grymasem.

Ale zamiar reżyserki obudzić „Pana Jowialskiego” do nowego życia wydaje się być zrealizowany tylko połowicznie. Czy dlatego, że reżyser sam się cofnął przed ostatecznymi konsekwencjami, w obawie by nie wygubił uroku i wesołości komedii, czy też że część aktorów, zwłaszcza starszego pokolenia, zbyt silnie ulega tradycyjnym wzorom interpretacji postaci (Włodzimierz Kwaskowski jako Szambelan, Lena Wilczyńska — Szambelanowa)? Chyba i jedno i drugie.

Postać Jowialskiego w ujęciu Józefa Łodyńskiego była dwuwymiarowa, nie sugerująca, że za „zasięgiem śmiechu” kryje się coś więcej. Bardziej solidarni z zamiarem reżysera byli młodzi: obok Kwaśniaka — Grażyna Marzec (Helenka), Jerzy Bałbuza (Wiktor) i Krzysztof Różycki (Janusz). Przemila, choć tradycyjnie potraktowaną Jowialską była Janina Staszewska-Cwiklińska.

Otwartą dekorację, wypracowaną jakby komedię Fredry z czterech ścian dworku szlacheckiego w plan uniwersalny, zaprojektowała Ewa Sobolowa.



Śmierć powtórzona po latach

Ostatni zapis dziennika widnieje pod datą 29 marca 1913 roku. Potem jeszcze krótki dopisek świadczący, że autor oczekuje śmierci w pełnej świadomości swego losu. Być może dopisek ten zrobiony był tego samego dnia, może następnego. Jedno jest pewne, że zdobywca Bieguna Południowego, 44-letni komandor Robert Falcon Scott umierał samotnie po przebyciu w ciągu 5 miesięcy mniej więcej 2000 kilometrów lodowo-śnieżnej pustyni.

Jego towarzysze zmarli wcześniej. Załamywali się kolejno Oates i Evans, później Wilson i Bowers. Najodporniejszy, najsilniej pragnący zwyciężyć w walce z podbiegunowym żywiołem był sam Scott. inspirator i dowódca. Trzymał się swego zadania kurczowo i odszedł ostatni, jak kapitan odchodzący ostatni z pokładu tonącego okrętu.

Historia wyprawy na Biegun Południowy podjętej przez Scotta i towarzyszy to jeden z najdramatyczniejszych epizodów w dziejach ludzkości. Nie bójmy się tak to sformułować: Pewnie, że doświadczenia człowieka obfitują w mordercze wojny i klęski żywiołowe o ogromnym zasięgu. Ze na tym tle plątka samotników ginących wśród śniegów Antarktydy przed 87 laty to jakby kropla w oceanie śmierci i zagłady. A przecież dramat Scotta należy do tych elementarnych cząstek dziejów, w których w symbolicznym skrócie zawiera się cały dramat ludzkości. Była to bowiem świadoma ofiara życia złożona w imię postępu wiedzy, w imię otwarcia przed człowiekiem nowych dróg.

Zmienia się technika, od śmierci Scotta poczyniono został krok ogromny. Osiągnięcie bieguna nie stanowi dziś poważnej trudności. W czasie trwania Międzynarodowego Roku Geofizycznego (1957—1961) docierały do bieguna wyprawy radzieckie, amerykańskie, angielskie. Scott odbywał większą część podróży pieszo, tylko przez pewien czas korzystając z koników syberyjskich i z psich zaprzęgów, obecnie służą do tego celu specjalnie konstruowane ciągniki i helikoptery.

Ale czy właśnie to, że zadamowiliśmy się już na Antarktydzie, nie jest dowodem, że śmierć Scotta nie była daremna? W taki sam sposób niedaremna, jak samotna śmierć bohatera Kosmosu Władimira Komarowa, lub jak przypomniała ofiarne całobalenie tragedia Grissoma, White'a i Chauffe'go. Ludzkości idzie dalej. Postęp pociąga za sobą ofiary, ale są to ofiary najpiękniejsze, zapisujące się złotymi zgłoskami w księgach dziejów. Nazwiska pionierów stanowią wspaniałą reprezentację tego wszystkiego, co w czło-wieczestwie najszlachetniejsze, najwartościowsze.

Realizator John Read przygotował dla telewizji BBC film o wyprawie Scotta. Film ten pojawił się w dniu 2 listopada na ekranach naszych telewizorów. Okazało się przy tym, że z wyprawy R.F. Scotta zachowało się wiele materia-łów. Dzięki temu, że na pokładzie statku wielorybniczego „Terra Nova” wśród 33 członków wyprawy antarktycznej znalazł się fotograf i operator filmowy Pondering, oglądać możemy jakby powtórzoną tragiczną historię Scotta.

Dziennik Scotta, odnaleziony w pół roku po białej śmierci na ostatnim białym wyprawie, jest już sam w sobie dokumentem wstrząsającym. Ale, podbudowany obrazem warunków, w jakich działała wyprawa, filmową relacją z instalowania stacji na wybrzeżu Antarktydy, z codziennych zajęć i skąpych rozrywek w warunkach zimy podbiegunowej, sekwencją ukazującą pożegnanie ze Scottem ruszającym na wyprawę z której nie miał powrócić, wreszcie wspomnieniami jedynego żyjącego jeszcze uczestnika wyprawy — nabiera wymowy pełniejszej. Na naszych oczach rozwija się bohaterka saga o ludziach, którzy swoim czynem potwierdzili prawdę słów, że człowiek, to brzmie dumnie.

Scott umierał w 1912 roku samotnie. W 1969 roku umiera jakby ponownie, ale na oczach milionów ludzi, na oczach młodzieży, dla której stanowi może piękny wzorzec postępowania, na oczach tych, którym marzą się może także czyny tej miary. Dzięki wielkiej przekładni, jaką stanowi telewizja, piękny moment na szlacheckich dziejach ludzkości został doprowadzony do nas blisko. Tak blisko, że czuliśmy się jakby uczestnikami wydarzeń, że chwilami wydawało nam się, że los wyprawy Scotta może się jeszcze odmienić, doprowadzić do szczęśliwego zakończenia.

Te autentyczne i szlachetne próby wzruszenia zawdzięczamy garstce ludzi, którzy zginęli przed laty, zawdzięczamy także telewizji.

spektakle tygodnia

	spektakli widzów proc.		
TEATR WIELKI			
„Książ Igor”	1	1260	100
„Wieczór baletowy”	1	1260	100
„Romeo i Julia”	1	1120	90
„Tosca”	1	1008	80
NOWY			
„Życie jest snem”	3	1700	66
„Szkoła kobiet”	1	500	70
NOWY MAŁA SALA			
„Bliski nieznamy”	3	450	75
„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1	180	90
„Kaprys” „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte”	1	180	90

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Rozbiła się nad naszymi ekranami bania z filmowymi adaptacjami wielkich mistrzów pióra. „Pan Wołodyjowski”, „Wojna i pokój”, „Bracia Karamazow” — istna złota seria klasyków literatury. I znów na forum publicznej dyskusji wraca kwestia wartości i metod adaptacji, swobód filmowców i praw pisarza, wierności wobec tekstu oraz wyobrażeń czytelników i potrzeby nowych „aktualnych” interpretacji. W tym trwającym nie od dziś sporze twórcy ra-

dziecy zajmują stanowisko odrębne i godne uwagi. Traktują oni dzieło literackie z ogromnym, muzealnym niemal pietyzmem, przykładając szczególną wagę do wiernego zrekonstruowania świata stworzonego przez pisarza, świata ludzi i przedmiotów. W „Wojnie i pokoju” Bondarczuka od żywa Rosja początków dziewiętnastego stulecia, jej salony, zaciszne dwory i wsie. Ten klimat starego świata, który bezpowrotnie odszedł w przeszłość i zapomnienie, wraz z

całym swoim urokiem i złem, przepejnym i nędzą stanowi zapewne największą zaletę filmu Bondarczuka. Przywołuje na myśl piękną balladę Okudźwaj o tęsknocie za czasem kiedy to po Moskwie zaśnieszona jeździły sanie, a w drzwiach mógł pojawić się sam Aleksander Siergiejewicz Puszkina, który jak wiadomo, w latach opisywanych przez Tolstoja był nieletnim dzieckiem. Niezaprzeczną słabością adaptacji Bondarczuka jest natomiast jej dosłowność, chęć dokładnego przeniesienia tolstojowskiego tekstu na ekran, ilustracyjność granicząca chwilami — z groteską. Pokora reżysera filmowego w stosunku do wielkiego klasyka zastępuje w szacunek, ale artystyczne rezultaty cierpią na tym srodze.

Podobną słabość zdradza ekranizacja „Braci Karamazow” Dostojewskiego, dokonana przez znakomitego klasyka radzieckiego kina Iwana Pyriewa. Niestety Pyriew nie dokończył swego dzieła. Śmierć przerwała pracę nad filmem, który miał stanowić ukoronowanie jego twórczości. Dwaj aktorzy: Kirill Lawrow (Iwan) i Michaił Uljanow (Fiodor) podjęli jego ideę i trud. Praca nad filmem zosta-

ła doprowadzona do końca. W przeciwnieństwie do Bondarczuka realizatorzy „Braci Karamazow” skondensowali materiał literacki, eliminując sporo wątków. Nie uszegli się jednak przed ilustracyjną poźnacią. Dostojewski — przypuśćmy napisał: „Fiodor roześmiał się dziko” i aktor dziko śmieje się na ekranie, wprawiając w lekkie zażenowanie publiczność. Realizatorzy zrezygnowali, jak się zdaje, z głębszego odczytania powieści Dostojewskiego, z nadania jej własnego sensu przekładalnego na artystyczny kształt. Zilustrowali rzecz całą ciągiem żywych obrazów. Obrona ręką wyszedł z tej operacji jedynie dialog, w którym, mimo wrzasków polskich aktorów zatrudnionych przy dubbingu (dostosowując się do całości spektaklu uznali oni iż tzw. namiętności wyraża się krzykiem) zachowało się coś z Dostojewskiego. Wielkość Dostojewskiego tkwi w tym wszystkim, co jest poza materiały opisywalnej rzeczywistości. Przede wszystkim w wielkim, jakże człowieczym niepokoju. W zakwestionowaniu naszego samozadowolenia moralnego, w podważeniu zaakceptowanego niejako odruchowo porządku świata, w

ujawnieniu (po raz chyba pierwszy!) płynności i względności granicy jaka dzieli dobro i zło, świętość i grzech, wielkość i małość, miłość i nienawiść, Boga i Szatana. Nic z tego niepokoju, z udreki myśli i sumienia nie przeniknęło do filmu Pyriewa. Realizatorzy potraktowali powieść jako dzieło obyczajowo-społeczne, zwierciadło epoki a nie duszy ludzkiej. Naturalizm inscenizacji (chwilami par excellence teatralnej) tudzież gry aktorskiej uczynił niewiarygodną fascynacją uczuciową bohaterów dramatu. Ani namiętność Fiodora, który miota się na ekranie niczym ranny zwierzę, ani fatalny, kobiecy czar Gruszeńki nie wydają się przekonujące. Duszny, niepokojący, mistyczny klimat powieści przybrał na ekranie wymiar „Moralności pani Dulskiej” ozdobionej filozoficznymi dysputami. Myślę, że rację ma A. Helman pisząc na łamach „Kultury” iż prawdziwego Dostojewskiego przeniesić na ekran mogą nie jego wierni czytelnicy ale twórcy urzeczony nim, bracia w widzeniu i odczuwaniu świata.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



NIEWIDOMY WOKALISTA JAZZOWY

Ray Charles wybitny wokalista jazzowy był ostatni raz w Europie osiem lat temu. Obecne jego paryskie koncerty wraz z zespołem liczącym 16-tu muzyków i 4 wokalistki, wywołały duże zainteresowanie miłośników jazzu. Ray Charles — ciemnoskóry muzyk posiada jeden z najpiękniejszych i wrzyszących głosów. Wypracował też sobie własny, oryginalny styl.

Urodził się w roku 1932 w Albany, w Stanie Georgia w Stanach Zjednoczonych. Przebywał następnie w instytucie dla niewidomych na Florydzie, gdzie uczył się muzyki i śpiewu. W roku 1946 Ray Charles organizuje zespół muzyczny Mam Trio i występuje w południowych stanach. Nie odnosi jednak sukcesu. Dopiero w roku 1955 zdobywa nagłe uznanie i staje się wokalista rock and rolla i bluesów.

sarza wzywa na otwarcie testamentu wiele osób. Są tu kobiety, które dramaturg kochał, m. in. miłość z lat jeszcze studenckich, która przybyła na zamek ze swym dorosłym już synem, jest legalna małżonka i ostatnia kochanka, jest najlepszy przyjaciel zmarłego, lekarz, znalazł się także krytyk. Wszyscy rozmawiają o zmarłym i wspominają go. Z tych rozmów wyłania się powoli sylwetka pisarza, „drogiego Antoniego”, który był właściwie człowiekiem o trudnym charakterze, zarozumiałcem, egoistą, zrzędnym, kiepskim kochankiem i autorem który nie znośił najmniejszej krytyki swej twórczości.

Drugi akt sztuki jest teatrem w teatrze. Oto cofamy się w czasie i widzimy żywego i zdrowego Antoine'a de Saint-Flour, który urządził w mieszkaniu paryskim próbę swej nowej sztuki zatytułowanej: „Cher Antoine ou l'amour rate” (Drogi Antoni albo miłość nieudana). Grają te same osoby co w akcie pierwszym, ale sztuka jest niejako przeglądem twórczości Antoine'a i jego życia. Pytanie generalne jakie dramaturg stawia i usiłuje na nie odpowiedzieć brzmi: „czy mimo sukcesów jakie odniosłem moja miłość do teatru nie jest czasem miłością nieudaną?” Pytanie, to jak się zdaje, dręczy i samego Anouilha.



NOWA SZTUKA JEANA ANOUILHA

„Cher Antoine” (Drogi Antoni) jest najnowsza, i jak twierdzą krytycy teatralni, najlepsza dotąd komedia Jeana Anouilha, tego dobrze znanego i u nas dramaturga francuskiego.

Akcja „Antoniego” rozpoczyna się w roku 1913 w jednym z zamków bawarskich. Zmarł właśnie wielki francuski autor dramatyczny Antoine de Saint-Flour. Jego tragiczne śmierć w katastrofie jest dość tajemnicza i na suwał może podejrzenie samobójstwa. Notariusz pi

CZARODZIEJ PARYŻA

150 lat temu, w czerwcu 1819 roku urodził się w Kolonii Jacob Eberst. Jego ojciec, którego znał no Offenbachem (od nazwy miejscowości rodzinnej) był kantorem w synagodze i skrzypkiem. Jacob był siódmym dzieckiem i podobnie jak ojciec i starsi bracia, kształcił się muzycznie od wczesnego dzieciństwa. Kiedy ma lat czternaście przybył do Paryża i za-

pisuje się do Konserwatorium. Mieszka wraz z bratem, który lekcjami muzyki zarabia na utrzymanie ich obu. Po roku studiów w Konserwatorium opuszcza je i przyjęty zostaje do orkiestry Opery Komicznej. Gdy ma lat siedemnaście komponuje swoje pierwsze walce. W trzy lata później koncertuje po raz pierwszy dla publiczności. W roku 1844 poznaje młodą, uroczą Hiszpankę, Herminę de Alcaín, która następnie zostaje jego żoną. Olbrzymia popularność zdobywa Offenbach, który zmienił swe imię na Jacques, swy

mi walcami i operetkami wystawianymi za II Cesarstwa. Nazywają go czarodziejem Paryża. „Piękna Helena”, „Orfeusz w piekle”, „Życie paryskie” i inne operetki cieszą się wciąż wzrastającym powodzeniem. Wojna francusko-niemiecka przerywa pasmo triumfów Offenbacha. Przez jakiś czas Trzeci Republika nie jest dla niego zbyt łaskawa, ale dziełem „Le Roi Carotte” opartym na jednej z opowieści Hoffmanna zdobywa na powrót sukcesy. Starzeje się już jednak i choruje. Pracuje teraz

w swym mieszkaniu przykuty przez reumatyzm do fotela. Chce napisać prawdziwą operę. Komponuje „Opowieści” według dzieł Hoffmanna, modnego wówczas i we Francji, niemieckiego poety, pisarza, kompozytora i malarza, przedstawiciela romantyzmu.

4 października 1880 r. Jacques Offenbach umiera. W cztery miesiące po tem jego dzieło, opera „Opowieści Hoffmanna” wywołana w Operze Komicznej staje się ważnym wydarzeniem kulturalnym.



BALANCHINE

12 czerwca 1928 roku w paryskim „Theatre Sarah Bernhardt” słynny kierownik „Rosyjskiego Baletu” Diaghilew wystawił premierę baletową „Apollon Musagete” Strawińskiego. Choreografem był absolwent carskiej jeszcze Akademii Baletu w Petersburgu, Giorgij Mielitowicz Balanchinadze, który za radą Diaghilewa zaczął się nazywać Balanchine. Dziś jest on jednym z najwybitniejszych choreografów na świecie reprezentujących tradycje tańca klasycznego.

Początkowo Balanchine nie zdobył sobie uznania ani w Europie, ani w Ameryce. W Nowym Jorku królowała moda na zupełnie inne formy widowiskowe i „American Ballet” Balanchine'a po prostu spłajnował, sam zaś mistrz stał się choreogra-

fem baletów operetkowych, musiciałów i widowisk na wól cyrkowych, gdzie stonnie w różnych majteczkach tańczyły polcekske.

Dopiero w roku 1948 Balanchine organizuje New York City Ballet i występuje z nim w „City Center Theater”. Tam, w budynku dawnej świątyni wolnomularskiej kreuje on przez szereg lat swe najwspanialsze pokazy baletowe oparte głównie na muzyce Igora Strawińskiego i starych mistrzów tej sztuki co Bach, Mozart czy Bizet. Dziś na występy baletowe zespołu Balanchine'a w „New York State Theater” przychodzi 300 tysięcy widzów rocznie, a Balanchine ze swym baletem odwiedza stolice krajów niemal całego świata. Balanchine'a zawsze fascynował taniec, a raczej kobieta w tańcu. „Byłem zafascynowa-

ny tancerką — mówił kiedyś. — Brałem jej stopę w rękę i starałem się zrozumieć czym jest właściwie równowaga, czym punkt oparcia (pointe).

Jak pokazać kobietę by wyglądała jak najpiękniej? Szukałem, studiowałem, słuchałem. Teraz sądzę, że wiem wszystko o nodze tancerki i jej możliwościach tanecznych. Korzystam z tego w moich baletach. Ale o kobiecie nic nie wiem. Jestem wciąż matym chłopczykiem”.

Możemy nieco powątpić wac czy dziś sześćdziesięcioletni Balanchine jest wciąż małym chłopczykiem i czy fascynacja tancerkami jest wyłącznie platoniczna. Balanchine bowiem jest już po raz piąty żonaty i za każdym razem z primabaleriną swego baletu.

od niedzieli do niedzieli

JAK CHLEB I SÓL

„BIBLIOTEKA NARODOWA” ZA ZŁOTÓWKĘ — „PAN TU NIE STAŁ!” — CO KUPIŁ TRAMWAJARZ? — 100 TYSIĘCY KSIĄZEK — TOWAROZNAWSTWO I LUKIAN — W PLECAKACH I WALIZKACH.

Rzuciłem w swoim czasie kilka gorzkich słów na temat mechanizmu tzw. przeceny księgarskiej. Irytowało mnie to, że zasady i wykonanie operacji ustala ją niechętnie księgowi, a nie księgarze, że w tej całej historii główną rolę grają czynniki typu „złota masa towarowa”, „za blokowane magazyny”... Nie cofam tamtych gorzkich słów — w dalszym ciągu wielu spraw z tej dziedziny nie potrafię pojąć ale... zaimponował mi „Dom Książki” swoim „kiermaszem przecen”. Oczywiście — jeśli wylączę w tej chwili z mojego dłu gopisu czynnik emocjonalny — będzie mnie i tak trafiał szlag, że piękne, krytyczne wydania dzieł z

serii „Biblioteki Narodowej” sprzedaje się... po złotówce, że wspaniale, opatrzone przypisami i aneksami tomy „Biblioteki Boy'a” sprzedaje się „za piątaka”... Wydaje mi się zresztą, że kryje się w stówku „przecena” niemały problem. Otóż lata ostatnie przyniosły sporą podwyżkę cen książek. Taki stary koń, jak ja pamięta nawet czasy, kiedy książki kupowało się po... dwa czterdzieści. Tyle wtedy zdaje się kosztowały „Mocne”. Zdrożały więc książki i to zdrożały sporo. Oczywiście cie trzeba też przyznać, że kształt i forma poligraficzna zmieniły się na korzyść — obecnie wydajemy

książki bardzo pięknie, pięknie lub w najgorszym wypadku poprawnie. To rzecz prosta także musi kosztować. Ale fakt jest faktem — przeciętna książka jest drogie — sto złotych za tom nie jest rzadkością, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści — jest regułą. Zatem książka zalega maga zyny. Przychodzi czas kiedy nie ma gdzie ładować nowych partii... więc przecena! Włec kiermasz! I tu dopiero ujawnia się prawda, której nie mogą pojąć księgowi i kalkulatorzy z wydawnictwa. Książka nie jest buble i artykułem dziesiątej potrzeby. Zamiast więc urządzić regularne przeceny kilka razy do roku — lepiej niż je kalkulować ceny. Jest tem rzecz prosta laik i może tak do końca nie mam tu racji, ale pomyśleć warto nad zjawiskiem. Bo zjawisko jest takie. Na godzinę przed otwarciem kiermaszu dziesiątki ludzi, codziennie, oczekuje pod drzwiami. Kiedy raz, spiesząc do redakcji, udało mi się zakupić „od tyłu” parę książek i wyszedłem w oczekujący tłum dzierżąc je pod pachą posypały się okrzyki,

— Co za porządek! Tu jest kolejka! Panie my tu czekamy od godziny! Daje słowo, że w życiu slyszalem podobne okrzyki i widywałem podobne reakcje tylko w wypadku cytryn, rajstop helanco, zakopiańskich kożuszków... Przecież taka właśnie reakcja tłumy czekającego na otwarcie księgarni świadczy najlepiej, najdobitniej i najprawdziwiej o tym, że książka jest artykułem pierwszej potrzeby. Dlaczego więc takich scen nie widać w „normalnych” księgarniach? Czy klucz do tej zagadki nie leży właśnie w wysoko przez wydawnictwa kalkulowanych cenach? I czy ktoś kompetentny nie mógłby nad tym podumać? Tak sobie myślałem następnego dnia kiermaszu, kiedy w słocznej ciżbie stałem przy ladzie. Z jednej strony pan w średnim wieku wybierał pozycje literatury naukowej, płacił i każdą paczkę książek dawał nad głowami ludzi do tyłu. Odbierała je żona — układała pod oknem, pilnując dobytku. Z drugiej strony pan w tramwajarskim szynelu w skupieniu odkładał dla siebie (autentycznie): „Atlas gwar polskich”, „Obróbka metalu skrawaniem”,

„Towaroznawstwo”, „Dialogi” Lukiana z Samosaty oraz pisma Gramsciego — włoskiego komunisty i filozofa... Zapłacił za tę swoistą silva rerum około dwudziestu złotych — wziął pod pachę i poszedł. A kiermasz huczał. Na piętnastu wielkich regałach w ciągu ponad dwu tygodni ustawiono — to nie bagatelka — ponad 100 tysięcy książek. Każdego ranka na opróżnione poprzedniego dnia półki wstawiano nowe książki — te znów znikaly w tłumie, i następnego dnia od nowa... Sto tysięcy książek w ciągu dwu tygodni kupił łodzianin na tym jednym tylko kiermaszu. Wy nosili je w teczkach, walizkach, plecakach... wywozili w bagażnikach samochodów... Dlatego, choć nie wszystko rozumiem w polityce przeceny, choć wiele rzeczy mnie w niej irytuje — spektakl książkowy oglądany przy Piotrkowskiej 5 jest dla mnie niezwykle radosnym i budującym zjawiskiem. Kupowaliśmy te książki jak chleb i jak sól — choć były tańsze od chleba i soli. A może właśnie tak powinno być?

JERZY WIDOK

Bez strachu

BĄDŹ DŹWIĘCZNY

Przed laty świat obiegło hasło: „Bądź uśmiechnięty!” i liczne pochodne tego hasła: „Uśmiechnięci żyją dłużej”, „Przez uśmiech do sukcesów życiowych” i inne. Uśmiech, nawet uśmiech automatyczny wcale nie świadczy o obtudzie — automatyczne ułożenie mięśni twarzy w wyraz uśmiechu wywołuje mniej lub więcej silny pogłos wewnętrzny u układającego — tak zatem o ile stan radości wywołuje wyraz uśmiechu podobnie sztucznie przybrany wyraz uśmiechu wywołuje wewnętrzny stan radości. Umysłem wymyślić własne psycho-higieniczne hasło — może i ono obiegnie świat, albo kraj, może tylko miasto, może tylko ulicę, może chociaż jedno mieszkanie — oto propozycja „Bądź dźwięczny” — chodzi mi o to by przez wszystkie wolne chwile cichutko wydawał pewien ładny, czysty dźwięk na przykład „Mu” (coś związanego z krową i sielskim obrazem pastwiska), albo „Dzień” (zamiast banalnego i tkwiącego korzeniami w prymitywnej magii „Dzieńdo bry”), osobom o skłonnościach mistycznych przy pominięciu świętej zgłoszki buddystów „Om” (stałe jej powtarzanie przenosi pono w wyższe rejony ducha i sprzyja kontemplacji). Jestem pewien że stałe powtarzanie dźwięku da ludzkości wytchnienie, harmonię wewnętrzną. Masz zrobić awanturę podwładnemu, czy przemówić szorstko do zony „powiedz sobie wpięty: „Mu, Mu, Mu, Mu”, albo „Dzień, dzień, dzień, dzień”, a jeszcze lepiej „Om, Om, Om, Om” — ciekaw jestem jak Ci wtedy wypadnie awantura. Czy zabrzmi przekonująco dla ciebie i dla innych. „Om, Om — jest pan draniem — Om, Om, Om — powybiłam panu zęby — Om, Om, Om, Om, wyrzucę pana z pracy — Om, Om, Om albo „Mu, Mu, Mu, Mu — jesteś moja droga kompletną idiotką — Mu, Mu, Mu, Mu, — jedzą — Mu, Mu — podcięłaś mi skrzydła — Mu, Mu, Mu — nigdy mnie nie rozumiałeś Mu, Mu, albo: „Dzień, Dzień, Dzień — kiedy do diabła przestaniesz pan trzępać dywan pod moim oknem — Dzień, Dzień, Dzień, — ja pani pokażę — ja panią przywołam do porządku — Dzień, Dzień, Dzień”. Dźwięki stworzą w nas nastroje harmonijne, apolliniskie — rozprószą zle i banalne gniewy, zintegrują nas, wysublimują, skoncentrują i uszlachetnią. Gdybym znalazł chociaż trzech wyznawców na „Mu”, trzech na „Om” i trzech na „Dzień” można by przystąpić do próby... Nie ogłaszam patentu, nie chcę korzystać, nie chcę sławy, ani niesławy — chodzę sobie od pewnego czasu spokojny i zycziwy, mówię na przemian „Mu”, „Om” i „Dzień”, hoduję w sobie nastroje podniosłe i radosne — każdy może mnie z łatwością naśladować. Natychmiast po obudzeniu się trzeba sobie powiedzieć: „Niezależnie od tego co dzisiaj zrobię, czy też nie zrobię przez cały dzień będę dźwięczny” i zaraz po tym przypomnieniu, wydać pierwsze: „Mu”, „Om”, czy też „Dzień”.

BERNARD SZTAJNERT

Wielka OKAZIA

George Mobley lubił się chwycić, że umie sobie układać życie. Twierdził, że posiada znakomite wach i oko, które pomaga mu dostrzec we właściwym czasie dobrą okazję.

Był inkasentem w dużej firmie, potem agentem w towarzystwie ubezpieczeniowym. Często wpląt i premii znikala w jego kieszeni. Od sześciu lat, to znaczy od chwili, gdy został wypuszczony z zakładu poprawczego, ciągle przenosił się z miejsca na miejsce i nikt jeszcze nie przyłapał go na kradzieży.

Pewnego dnia przeczytał w gazecie drobne ogłoszenie, które go zainteresowało: „Poszukuje się sekretarza na pół dnia w celu przepisywania pracy topograficznej”. George był właśnie bezrobotnym, a wach mu wskazywał, że ogłoszenie kryje coś zupełnie innego niż zapowiada.

Po południu udał się pod wskazany adres w zamożnej dzielnicy miasta. Pałac w stylu wiktoriańskim, o dzwicznej na zwie Villa Maiorca, leżał w obszernym ogrodzie z dala od innych domów.

Przyjęła go właścicielka pani Genevieve Foster. Zobaczywszy ją George pomyślał, że oto wpała mu w ręce dojrzała brzośkwinią. Chociaż miał powódzenie u kobiet, postanowił jednak uniknąć zbliżenia przy pierwszym spotkaniu.

W całej tej sprawie było coś tajemniczego. Musiał postępować ostrożnie.

Podczas pierwszej rozmowy z panią domu George nie zobaczył pana Fostera, który właśnie pojechał do biblioteki miejskiej, gdzie spędzał większość swego wolnego czasu.

James powierzył mu funkcję zbadania ewentualnych kandydatów na tę posadę — wyjaśniła jego żona. — Nie zna się na ludziach. Ostatni sekretarz, którego sam przyjął, pisał na maszynie dwoma palcami. Czy pan umie pisać na maszynie? — Umie. Potrafię także stenografować.

George starał się odpowiadać na pytania pani Foster z tą samą zwiezłością, z jaką były zadawane. Pełnemu skupieniu przeskądzał jednak fakt, że była bardzo pociągająca.

— Czy pan posiada jakieś referencje? — zapytała.

Podał jej zaświadczenie, które sam zredagował i podpisał.

Pani Foster zainteresowała się listem wystawionym przez Edwarda Bakera z miejscowości

Shropshire. — Pozwoli pan, że zatelefonuję do niego.

— Lepiej gdyby pani napisała, ale odpowiedź szybko nie nadejdzie, gdyż sir Baker żegluję obecnie po Lazurowym Wybrzeżu.

— Dobrze. — Uśmiechnęła się za gadkowo. — Właściwie chodzi tylko o tymczasowe zatrudnienie. Aby mój mąż był czymś zajęty i miał rozrywkę. Jest chory na serce i nie może poświadczyć się zbyt uciążliwej pracy.

George zgłosił się do pracy następnego dnia rano. James Foster był dla niego prawdziwą niespodzianką. Zobaczył przed sobą pięknego mężczyznę drobnej budowy, typ trochę zniewieściały, o czarnych włosach z pasmem siwizny. Mógł mieć około trzydziestu lat, był młodszy od żony.

Foster przyjął go w gabinecie na parterze. — Czy interesuje się pan topografią? — zapytał.

— Nie znam się na tym zupełnie — przyznał George z uśmiechem zakłopotanego młodzieńca. — Mogę się jednak nauczyć.

— Przyjąłem pana polegając na rekomendacji żony, która nigdy się nie myli w sądach o ludziach.

Zaczęli pracować. Foster dyktował serię odcinków wyjętych z różnych tomów leżących na stole. Dotyczyły topografii miejscowości Sussex. George stenografował, a następnie przepisywał na maszynie stenografowane odcinki.

Zauważył, że Foster przygląda mu się badawczo. Czy był zazdrosny? Czy go się obawiał?

O godzinie trzynastej zajarzała do pokoju Gen. — Czy dużo ci jeszcze brakuje, James?

— Na dziś już dosyć.

Wypili w saloniku po kieliszku sherry. Pani Foster sama od prowadziła George'a do drzwi. — Proszę wybaczyć — tłumaczyła się — że nie zapraszam pana na śniadanie, lecz mąż je tylko małą przekąską, a potem odbywa drzemkę. Ma bardzo delikatne zdrowie.

Następnego dnia, w środę, znów dyktando i przepisywanie na maszynie. W czwartek Gen oznajmiła: — Dzisiaj Jamesa nie ma w domu. Musiał pojechać do Londynu po nowe materiały. Zostawił panu kilka kartek do skopiowania. — I dodała z przesadną obojętnością: — Właśnie piję herbatę, mogę pana zaprosić?

Była to okazja, która mogła nie powtórzyć się prędko. W

hallu George objął kobietę i przycisnął do siebie. Pocałowała go. — Chodź na górę — szepnęła.

Później, gdy palili papierosy i George podziwiał luksus, z jakim była urządzone sypialnia, Gen powiedziała: — Wiem, o czym myślisz. James jako mężczyzna nie przedstawia żadnej wartości. Jest bardzo bogaty i dlatego go poślubiłam. Później zachorował na serce i teraz muszę pleścić w murach tego pałacu. Gdybyśmy byli małżeństwem — ty i ja — nie spędziłbyś czasu na opracowywaniu książki o topografii Sussex, prawda? Niestety, nie masz pieniędzy.

Nazajutrz Foster był znów w domu. Przywiózł książki z Londynu i dyktował wybrane fragmenty. O godzinie jedenastej zakończył pracę mówiąc: — Możliwe, czy może pan kontynuować sam przez resztę przedpołudnia? Brak mi pewnych szczegółów dotyczących zalesienia, muszę iść do biblioteki.

Gdy tylko drzwi zamknęły się, George pobiegł na piętro. Gen wyszła mu na spotkanie. — Zo stańmy na dole — rzekła — nie chcę, aby zobaczyła cię sprzątaczką. Spuść żaluzje.

We wtorek następnego tygodnia Foster udał się do Londynu. Gdy George opuszczał wieżowiec pałac, czuł, że stał się niewolnikiem tej kobiety. Był także pewny, że ukrywa przed nim jakiś plan.

— Co ty właściwie myślisz, Gen? — zapytał podczas następnego spotkania.

Spojrzała na niego badawczo. — Pragnę uczynić cię szczęśliwym.

— I co jeszcze? Przecież to nie wszystko.

— Jesteś pojętny. Powiem krótko: mój mąż jest idiotą, zanudza mnie. A my jesteśmy dla siebie stworzeni. James od czasu do czasu wyjeżdża w swoich sprawach na dwa lub trzy tygodnie. Podróżuje.

— Tak? — George nie wiedział jeszcze do czego zmierza. — Nigdy nie mówi dokąd wyjeżdża.

— To znaczy, że możemy częściej spotykać się? — odważył się George.

— To nie ma znaczenia. — Głos jej przybrał nieznany dotąd zimny ton. — A teraz lepiej, żebyś już poszedł.

Pod koniec drugiego tygodnia George stał się niespokojny i niecierpliwy. Zawsze praca go nudziła, a ta szczególnie. Wydało mu się niekiedy, że także Foster nudził się. Wychodził coraz częściej z domu i zostawiał go samego.

Były dni, gdy George zaczynał wątpić w uczucia pani Foster. W jednym z takich momentów Gen weszła do gabinetu męża i nacyliwszy się do stuknięcia na maszynie George'a szepnęła: — Zamknij oczy!

Posłusznie zamknął. Czuł, że coś mu wsuwa do ręki. Potem roześmiała się, widząc jego zdumienie.

— Otwórz prędko! Podarunek ode mnie.

George zobaczył parę czarnych spinek z kamieniami podobnymi do brylantów — oraz szpilkę do krawata uzupełniającą komplet.

Zaniósł biżuterię do jubilera, który orzekł, że brylanty są autentyczne i osadzone w czystym opalu.

Epizod z biżuterią przypominał Georgowi, że nadszedł już czas, aby poszukać imprezy bar dziej dochodowej, niż ta w Villa Maiorca. Może pani Foster chciała mieć tylko domowego kochanka?

Pewnego dnia Gen przerwała mężowi dyktowanie i oznajmiła, że trzeba w saloniku wbić gwóźdź w ścianę. Zignorowała Jamesa i poprosiła o to George'a. W saloniku podała mu młotek i sekretarz wbił gwóźdź.

— Dlaczego nie prosiłaś o to męża? — zapytał zdziwiony George.

Roześmiała się. — Mówiłam ci już, że jest do niczego. Nie umie nawet zawiesić obrazu.

Po pracy jak zwykle popijali sherry. George oglądał fotografie, które stały na stoliku przy oknie.

— To jest ciotka Edith i wuj William — objaśniła Gen.

— A ten pan? — George wskazał portret starszego pana z wąsami.

— To mój kuzyn. Nazywa się Mortimer Lands.

Następnego tygodnia Mobley powziął decyzję, że postawi jasno sprawę z Gen. Zaczął już powątpiewać w swoje niezawodne dotąd oko — i w przypadku omyłki należało pożegnać się z tym domem. Fostera nie było. Zanim George zdążył przedstawić ultimatum, pani Foster zawiadomiła go, że praca jest zakończona.

Spojrzał na nią wstrząśnięty. — Zakończona? Ależ on mi dyktował tylko kilka odcinków! — Wiem o tym. Mówiłam ci, że robi to dla rozrywki. Zaczyna sprawę, potem je rzuca. Po za tym nie czuje do ciebie sympatii. Obawiam się, że coś podejrzewa.

— To przecież dla niego nie nowości. Sama mi opowiadałaś o tych kofeinkach — zryłował się George.

— Prawda. Lecz James jest bardzo dziwny. Gdy zdarzy się fakt tego rodzaju... oddala się z domu. Ma zamiar wyjechać w niedziele.

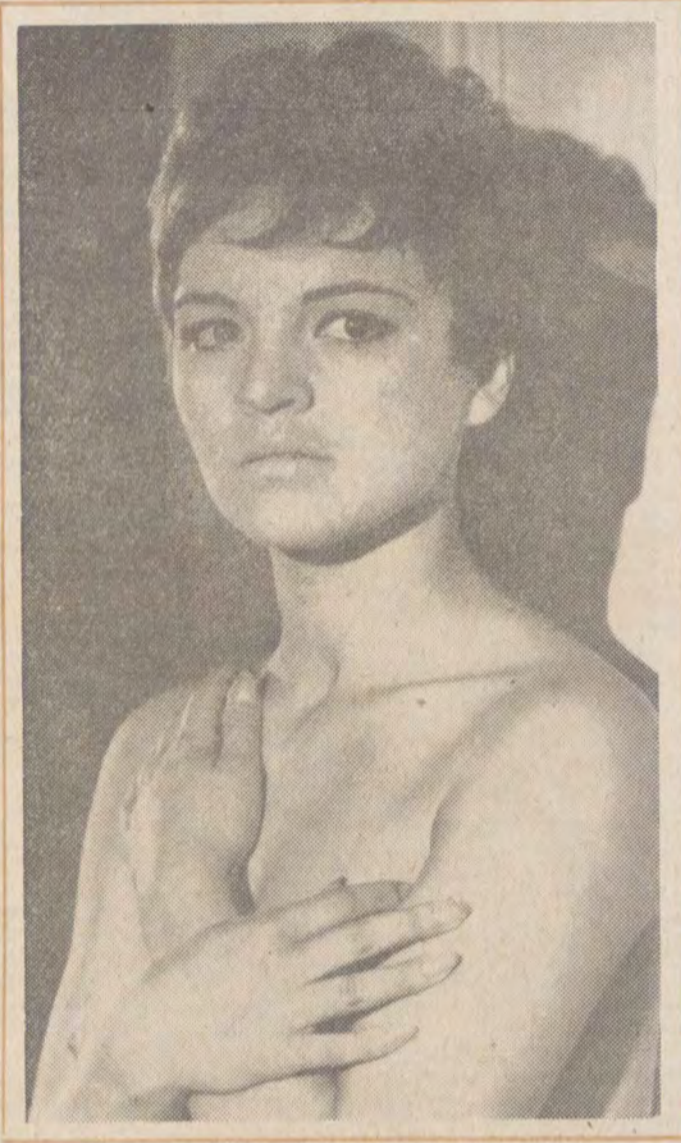
— W niedzielę? — George nie umiał ukryć swego zdziwienia.

— I dokąd wyjeżdża?

— Nigdy nie zwierza się nikomu. Czasem przyśle mi list, że wraca. Lecz tym razem „przygoda” nie skończy się — rzekła twardo. — Tym razem nie powinien wrócić.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Gen?

— Że nie powinien nawet stąd wyjechać.



Przedstawiła mu plan działania. Jej mąż i ona mieli wspólny rachunek bieżący, z którego mogła pobrać trzy tysiące funtów. Nie jest to duża suma. Ale gdyby James postanowił zatrzymać się za granicą, w Argentynie i jeżeliby przysłał list do banku z dyspozycją, aby jego majątek został tam przekazany?

W Argentynie, gdzie nikt nie zna Jamesa Fostera, można łatwo podrobić podpis, pobrać wszystkie pieniądze i żyć wygodnie przez wiele lat.

— Obawiam się, że mogą wytknąć trudności z bankiem Fostera w Anglii — zauważył George.

— Pomyślałam o tym. — Gen pokazała mu czysty arkusz z drukowanym nagłówkiem i odręcznym podpisem Jamesa Fostera u dołu. — Prosiłam go, aby podpisał, ponieważ chcę zwrócić się do urzędu telefonicznego o założenie nowego odgałęzienia w naszym domu. Zamiast tego wysłałam do banku list pisany na maszynie, a pod spodem będzie autentyczny podpis Fostera.

— Czy w Argentynie muszę ucho- dzić za Jamesa Fostera?

— Naturalnie. Wyjedziesz stąd pod prawdziwym nazwiskiem. Gdy już tam będziemy, postaram ci się o fałszywy paszport. Potem nastąpiło nieuniknione pytanie. Co będzie z Fosterem? George nie miał skłonności do używania przemocy.

— Nie będzie żadnego gwałtu.

Przyglądał jej się bacznie. — Więc jak to urządzisz?

— Foster jest chory na serce. Co wieczór przygotowuję mu gorący napój. Mam pastylki, po których nie obudzi się nigdy.

George zamyslił się głęboko. — Nie potrzebuję twojej pomocy, jeżeli cię to niepokoi. Może później, gdy będziemy musieli pozbyć się go.

— Gdzie?

— Sądzę, że najlepiej w rzece, do morza jest zbyt daleko. Naturalnie, trzeba go odpowiednio obciążyć. Jeżeli kiedyś wypłyniesz na wierzchu, będziemy już bezpieczni i daleko — w Argentynie. I wiesz, co ci jeszcze powiem?

— Co takiego?

— Między Anglią i Argentyną nie istnieje prawo ekstradycji przestępców.

Dokończenie nastąpi



Lewym okiem

ROMANS INSPEKTORA

Postęp techniczny, eliminując pracę żywą, komplikuje procesy zarządzania, planowania, kooperacji. Pracowników fizycznych będzie w przemyśle z roku na rok mniej. Urzędników będzie z roku na rok więcej i to jest obiektywne prawo postępu.

Już dziś owi sławetni „pracownicy umysłowi” stanowią wielką grupę społeczną. Nie identyfikujemy tej grupy z inteligencją w ogóle. Inteligencja — to oprócz urzędników wszystkie wolne zawody: nauczyciele, inżynierowie, dziennikarze, artyści. Trzymajmy się samych tylko urzędników. Wielka, rosnąca grupa społeczna. Co o niej wiemy?

Wszystko, co wiemy, to informacje negatywne. Urzędnik w „środkach masowego przekazu”, a tym samym w świadomości społecznej, to śmieszny, złośliwy typ, pełen odrażających cech, małostkowy, głupi; tolerowany z konieczności, nieproduktywny darmozjad o wielkich ambicjach; szlachetka, patrzący z góry na murarzy i chłopów, na dozorcę i na sprzedawczynię marchwi.

W literaturze urzędników nie ma. Żaden wielki roman nie dzieje się w środowisku referentów i stenotypistek, żadna powieść obyczajowa nie zajmuje się „przemianami”, ani tym co „nowe”, ani tym co „typowe” w rodzinie kontysty po technikum ekonomicznym, zarabiającego półtora tysiąca miesięcznie.

Wielka szkoda. Przyczyny są — tak mi się wydaje — jasne: pisarze nie mają pojęcia o tym środowisku. Pisarze zresztą najczęściej nie mają pojęcia o żadnym środowisku oprócz własnego, bo od dziecka zrobiono z nich profesjonalnych literatów i z takiego punktu widzenia przywykli oglądać i oceniać świat. Dlatego co drugie opowiadanie obraca się dokoła młodego (albo starszego) pisarza, czasem w towarzystwie starego (albo młodego) malarza i paru zaniedbanych moralnie dziewcząt. Psychologia postaci jest czasem świetna, wrażliwość nadzwyczajna, zrozumienie najcieńszych odruchów i reakcji psychicznych — zdumiewające. To oczywiście ważne i cenne. Oprócz tego jednak coraz to rozlega się wołanie: więcej realiów! Więcej rzeczywistych, ludzkich spraw, więcej prawdy o życiu, jakim żyjemy i jakie chcemy zrozumieć!

Owszem, wołanie takie nie pozostaje bez echa. Co odważniejszy pisarz „idzie w teren” — a to znaczy zawsze: do fabryki pomiędzy robotników, do PGR pomiędzy rolników, do koszar pomiędzy lotników i saperów. Czasem cukrownia. Czasem marynarze i rybacy. Czasem baza samochodowa i kopaczka z wielkich inwestycji pięciolatki. Idzie pisarz w teren, notuje powiedzonka, jak najwięcej powiedzonek, notuje rozkład dnia roboczego i rozkład niedziel, kilka „konfliktów” (brak męż

czyn w Zambrowie, brak kobiet w Turoszowie...). Potem takimi realiami „nasyca się” dzieło literackie i może z tego wyjść rzecz udana lub nie. Udana też może.

Nigdy jednak pisarz nie pójdzie „w teren” do Centrali Jajczarsko-Papierniczej, jako referent skupu, ani do Zjednoczenia Przemysłu Szelkowego, jako planista kosztów. To za mało egzotyczne. Nikt nigdy nie weźmie do obróbki losu takich ludzi, ich pasji zawodowych, ich biurokracznego heroizmu (bo to się zdarza), ich zmagania pomiędzy wygodnictwem, a koniecznością podejmowania decyzji wcale ważkich, ich tragedii ambicjonalnych, satysfakcji nieczystych a skrytych, ich frustracji — spowodowanych choćby tym, że taki człowiek — taki, powiedzmy, magister — dziesiątki lat pracuje ofiarnie, śnią mu się plany i rozdzielniki, składa trzysta podpisów dziennie, a żaden z tych podpisów nigdy nie oznacza jego osobistego osiągnięcia, nie jest sygnowaniem własnego dzieła...

Wielka szkoda, bo — powtarzam — chodzi o grupę, rosnącą bardzo szybko. Grupę, stanowiącą tron konsumentów sztuki i literatury, wpływającą na styl życia całych ośrodków miejskich i osad, grupę, wążącą niebagatelnie na kształtowaniu się postaw ludzkich, obyczajów, poglądów.

Nie powinno się zostawiać „pracowników umysłowych” poza zasięgiem zainteresowań literackich. Wnoszę o konkurs na powieść, dotyczącą się w ich środowisku. Zobaczycie: jeśli ktoś potrafi napisać prawdę — będzie to nieklamana egzotyka. Bestseller!

CWIEK